

K. RYBACKI.

NOTATKI
Jeńca z Dänholmu
i zamku Celle.



ŁOWICZ
Nakładem księgarni K. Rybackiego.

—
1928.

WINCEN TY JAGIELSKI

K. RYBAČKI.

NOTATKI

JEŇCA Z DÄNHOLMU

NOTATKI JEŇCA Z DÄNHOLMU
I ZAMKU CELLE.



1922

1922

K. RYBACKI.

NOTATKI

Jeńca z Dänholmu
i zamku Celle.



ŁOWICZ

—
1928

R. RYBACKI

NOTATKI



ŁOWICZ

w Drukarni K. Rybackiego w Łowiczu.

11 październik 1914 r.

Rankiem dnia dzisiejszego wszystkie władze administracyjne rosyjskie wyjechały z Łowicza. Pozostał tylko oddział kozaków, który zaczął wysadzać mosty; najprzód Warszawski, lecz pomimo trzykrotnych wybuchów, kilka słupów zaledwie zostało wyrwanych. Rozlano następnie beczkę nafty na rozrzuconą słomę i zapalono. Buchnął ogień lecz tylko z nafty i gdy ta się wypaliła zaczął przysgasać, gdyż deski i belki były mokre. Dla podsycenia ognia kozacy szablami poczęli rąbać barjery,—lecz robota szła bardzo powoli. Dopiero gdy się rzuciła do pomocy dzieciarnia i starsi na ochotnika—barjery w moment potłamano—zabierając je na opał.

W czasie palenia mostu ukazał się nad nim areoplan dwupłatowiec. Kozacy poczęli doń strzelać lecz bezskutecznie, gdyż wysokość była zbyt wielka.

Po wyjściu ostatniego oddziału kozaków, około godziny 12 w południe, nastąpiła w mieście pewna trwoga w oczekiwaniu czegoś nieznanego.

Okolo godz. 5-ej po południu zakotłowało się dookoła, ludzie zaczęli uciekać w różnych kierunkach, zaczęto zamykać sklepy; w tem ukazało się kilkunastu Niemców na rowerach z bronią przewieszoną przez plecy, dalej kilku pieszych z bronią przygotowaną do strzału, następnie wjechał konny podjazd. Niedługo ukazał się pułk ułanów pruskich i pułk dragonów, zaś po chwili wkroczyła piechota i uszykowała się na rynku Kościuszki w czworobok—ustawiwszy broń w kozły.

Po sprawdzeniu szeregów, żołnierze momentalnie zaczęli się rozlokowywać po prywatnych mieszkaniach. Duża część piechoty zajęła szkołę realną wraz ze wszystkimi mieszkaniem należącymi do urzędników i profesorów szkoły. Oficerowie rozlokowali się po prywatnych mieszkaniach.

Najgorzej wyszli ci mieszkańcy co puciekali, gdyż mieszkania zamknięte Niemcy otwierali siłą i zajmowali je. Przeważnie byli to landwerzyści starsi, wielu było Polaków od Katowic i Mysłowic, ci nawet nie źle mówili po polsku.

Za wzięte przedmioty płacili markami papierowymi które były przyjmowane w wartości 50 kop za markę, chociaż niektórzy żądali, aby rubla liczono 1 markę 40 fen.

Natychmiast po przybyciu zaalarmowali dzwonekami straż pożarną, aby czymprędzej gasiła mosty. Most na szosie sochaczewskiej spłonął. Jedynie most na Mostowej ulicy—rozsadzony w jednym miejscu przez kozaków, zaczęto naprawiać.

Oficerowie sami szukali sobie kwater po prywatnych domach, gdzie również się stołowali—płacąc za życie, o ile właściciel mieszkania zechciał przyjąć. Drzewo na opał brali skądkolwiek, nawet ławki szkolne, trafili bowiem na brak opału w mieście i dokuczliwe zimno.

Rano 13 października wojska zaczęły się szykować do drogi i o godz. 7-ej rano kawalerja, a za nią piechota wyszły w stronę Warszawy. Obozy opuściły Łowicz w kilka godzin później.

Stormowana po wyjściu Moskali straż obywatelska na nowo zaczęła pełnić służbę. Komitet obywatelski wydał rozporządzenie, że dozwala się chodzić tylko do godziny 10 wieczorem, spotkane po tej godzinie osoby będą się musiały legitymować. Tegoż dnia poraz pierwszy w magistracie ukarano chłostą delikwenta za kradzież na ulicy, wydział prawny straży na pierwszy raz naznaczył pięć różeg, drugiemu naznaczono piętnaście, lecz z powodu wyjątkowych okoliczności łagodzących, karę umorzono.

Po opuszczeniu Łowicza przez wojska niemieckie, które poszły w stronę Warszawy, odetchnęliśmy, czując że tym sposobem groza wojny oddali się od nas. Od czasu do czasu przelatowały przez miasto samochody niemieckie udając się w stronę Arkadij i Bolimowa.

Głuche odgłosy huku armat w stronie północno wschodniej miasta dawały jednak znać, że spokój jest tylko chwilowy, że jesteśmy na wulkanie. Mieszkańcy wychodzili w pole, kładli się na ziemi, lecz nie mogli odgadnąć gdzie wre bój.

Nagle ukazał się na ulicach szwadron dragonów Krakowskich, żądając nafty dla dalszego palenia mostów.

W tem jak z pod ziemi zjawił się podjazd kozaków, część rzuciła się ku stacji skąd huk pochodził od wysadzanych łącznic, reszta rozbiegła się po mieście szukając Niemców. Między innymi wpadli do hotelu Biełousa. Po chwili huknęły salwy karabinowe, będący w hotelu oficer niemiecki poddał się, również pochwycili kozacy Niemców wysadzających budynki stacyjne.

Zaledwie kozacy odjechali z jeńcami, około godziny 7-ej wieczorem wpadły niemieckie samochody z wojskiem czyniąc milicję miejską odpowiedzialną za wziętych do niewoli Niemców.

Nagle zaczął padać na miasto grad szrapneli. Strach niedoopisania ogarnął wszystkich. Ludzie z łóżek uciekają do piwnic, tu i owdzie wałęsają się kominy i mury — nastał sądny dzień. Tej nocy nikt oka nie zmrózzył.

Zaledwie świt zajaśniał w niedzielę — ucihły salwy i ludzie powoli zaczęli wychylać głowy. Kamień im spadł z serca — jak okiem sięgnąć — rynek zawałony kozactwem. Strzały zaś pochodziły od nich w celu wybadania terenu — sądzili bowiem, iż w Łowiczu są jeszcze Niemcy. Nagle ujrzelśmy przed magistratem na włoskim orzechu wiszących dwóch Żydów młodych, których kozacy znaleźli ukrytych w stajni w sianie razem z niemieckim żołnierzem, powieszono ich jako szpiegów.

Tu dopiero stanęła nam przed oczyma cała groza wojny ze wszystkimi jej następstwami. Zdawało nam się, że już wszystkie przeszliśmy etapy, że już nerwy nasze skamieniały. Nagle wszczął się ruch na placu. W pędzie ruszyli kozacy w stronę Domanewic i po niedługim czasie przyprowadzili niemiecki samochód z jeńcami, niedługo zanim — sześć koni przyciągnęło wspaniały dworski samochód wielkiego księcia heskiego, jadący pod znakiem czerwonego krzyża. W samochodzie jechał generał-koniuszy księcia z rannym szoferem i żołnierzami, szofer zmarł w szpitalu ś-go Tadeusza, zaś rannego koniuszego i żołnierzy odesłano do Warszawy.

W poniedziałek 19 paźd. wojska rosyjskie zaczęły wychodzić z miasta w różne strony i znowu nastąpiła obawa co będzie dalej.

Około południa nadjechał ze Skierniewic opancerzony pociąg niemiecki i poczęto wysadzać i palić budynki stacyjne.

Na dworcu Kaliskim wielka rampa towarowa wypełniona była kilkudziesięcioma belami lnu, papieru i innymi

towarami, Niemcy pooblewali paki naftą i zapalili. Wy-soko buchnęły płomienie potęgując grozę sytuacji. W czasie palenia budynków stacyjnych—od strony południowo-zachodniej zaczęły padać na miasto szrapnele i granaty—lecz obecne w mieście austriackie wojska nie wiedziały skąd i czyje.

Nie obeszło się także i bez komicznych epizodów: Podczas największego krzyżowania się granatów i szrapneli, jeden z członków komitetu obywatelskiego wracając z dworca kaliskiego począł szybko uciekać do domu, lecz przypomniawszy sobie, że ma wadę serca, przystanął i szedł wolno, gdyż—jak mówił—biegnąc naprzeciw szrapnela łatwiej można być trafionym, i rzeczywiście granat pękł nad domem Bronikowskich na 50 kroków przed nim.

Współpracownik Redakcji „Łowiczana”, p. Edward Nowakowski, wszedł na dach swej oficyny i przyglądał się płonącym gmachom kaliskiej stacji.

—Patrz—woła—czy nie istny pożar Romy?

—Weź więc lutnię i udawaj Nerona.

W tej chwili poczęły gęściej padać granaty. Spojrzałem w górę by się przekonać skąd lecą — Nerona na dachu już nie było, zjawił się dopiero w redakcji na drugi dzień.

—Czemu nie udawałeś dalej Nerona?—zapytałem.

—Pobiegłem po lutnię—rzekł z całą pewnością siebie.

Zaszedłem do mieszkania swego gospodarza p. Maks. Dąbrowskiego i widzę, że na wszystkich twarzach każdy huk granatu nerwowe sprowadzał drżenie. W kącie pokoju zauważyłem córkę gospodarza p. Janinę i p. Grzybowską siedzące na ziemi „w kuczki” nad palącą się na krześle świeczką, i rzewnymi zalewające się łzami.

—Nie płaczcie! więcej odwagi — rzekłem ze współczuciem—dotknąwszy z lekka ramienia jednej z nich.

—Niech nam pan nie przeszkadza,—rzekły przez łzy.

Zaintrygowany zajrzałem im przez głowy—na krześle leżała „Trędowata” Mniszkówny.

Więc one nad nią płakały! Szczęśliwi autorzy, od czytania których nawet kule armatnie oderwać nie mogą!...

18 październik 1914 r.

W dniu tym wojska austriackie zaczęły opuszczać Łowicz kierując się w stronę Łodzi. Niemieckie zakwaterowały się na dłużej, gdyż codziennie wychodziły rano okopywać się koło Łowicza, pozostawiając jedynie warty i podjazdy.

Miasto przedstawiało ponury widok, wszystkie sklepy były pozamykane za wyjątkiem aptek, cukierni i materjałów pisemnych. Ceny Niemcy płacili jakie chcieli. Po wsiach nabywali wszystko: konie, wozy, kury, masło lecz najczęściej płacili kwitami na których były wypisywane po niemiecku różne głupstwa, był to formalny rabunek. Komitetowi obywatelskiemu dawali rozporządzenia na dostawę produktów, nie pytając skąd weźmie, w razie nie wykonania — grozili rozstrzelaniem. Zarekwirowawszy na podwoły wszystkie konie w mieście i okolicy — zwrócili się do Komitetu o dostawienie za godzinę 12 par koni, na odpowiedź Komitetu że już wszystkie konie zabrano — odpowiadali „musi być!”

Z folwarku na Blichu wzięli kilka wozów koniczyny nasiennej, a po pieniądze kazali przysłać. Gdy posłaniec się zjawił — wyrzucili go za drzwi. Zabrano z tegoż folwarku wszystkie pasy, liny, łańcuchy. Oficerowie patrzyli na wszystko obojętnie, przeważnie byli to sasi.

W piątek 23 września huk armat coraz bliżej słyszeć się dawał, zaś między wojskiem niemieckim czuć było pewne zdenerwowanie. Wychodzili ciągle na pozycje, ustawiając armaty w różnych punktach, zaś obozy wysyłać zaczęli naprzód.

Wyszedszy za miasto widziało się wszędzie ruiny, zgliszcza, popioły. Nieprzerywając wydawnictwa „Łowiczanina” — pomieszczałem w nim choć krótkie wzmianki o sytuacji. Lecz pod wrażeniem tego niszczenia w Nr. 43

z 23 października pomieściłem krótki artykuł w którym napiętnowałem szatański pomysł rozczwiartowania żywego organizmu Polski, wskutek czego bracia z trzech zaborów walczą przeciwko sobie. Artykuł był dosyć ostry, zdawało mi się, że gdy numer wyjdzie, to Niemców już nie będzie, tymczasem inaczej się stało.

W sobotę o godzinie 9-ej rano dano mi znać do redakcji, iż w księgarni jest oficer pruski i pragnie się widzieć z p. Karolem R., zapewne znajomy, mówi po polsku. Wchodzę do księgarni, kłaniam się i widzę adjutanta sztabu pruskiego, który zapytuje mnie tonem ostrym:

— Czy pan jesteś Karolem R.?

— Jam jest, do usług.

— Jak pan śmiałeś w swojej gazecie napisać na Niemców?— Jak pan śmiałeś Niemców obrażać?

Mówił wolno, lecz dosyć poprawnie po polsku, jak Niemiec, który się w poznańskim urodził.

W odpowiedzi odrzekłem, że nie miałem zamiaru obrażać nikogo, pisałem o dyplomatach z końca XVIII wieku, którzy rozrywając żywy polski organizm, zgotowali nam wszystkim krwawą dolę, którą dziś każdy przeklina.

— Jeszcze raz się pytam, jak śmiałeś pan obrazić niemiecką armję? Idziesz pan ze mną!

Skinął, a dwaj żołnierze z bagnetami w rękę, stojący przed sklepem otoczyli mnie.

Zrobiłem krok w tył, by włożyć czapkę, lecz oficer krzyknął:

— Nie ruszaj się pan z miejsc!

Podano mi nakrycie głowy, lecz było chłodno, zwróciłem się do wiszącego obok palta by je włożyć, lecz krzyknął znowu:

— Nie ruszaj się pan. z miejsc!

Podano mi palto i wyszedłem poprzedzany przez adjutanta i eskortowany przez dwóch żołnierzy. Na ulicy zawołał jeszcze stojącego strzelca i polecił mu skonfiskować Nr. 43 „Łowiczanina”. Zaprowadzono mnie na plac przed dworcem wiedeńskim i postawiono pod latarnią obok skweru.

— Zaraz odbędzie się sąd nad panem—rzekł głosem ostrym, poczem krzyknął: jeżeli do pana mówię, to powinienś wyjąć ręce z kieszeni.

Uczyniłem jak kazał i czekam spokojnie wyroku. Sztab cały korpusu saskiego siedział na schodach zewnętrznych domu Wilkoszewskiego, Najwyżej na krześle

siedział dowódca otoczony generałami, jeden zaś z generałów, brunet, wysoki, przechadzał się ustawicznie i coś na karcie notował, rzucając krótkie urywane zdania oficerom i ordynansom.

Huk armat zbliżał się coraz bardziej, szrapnele zaczęły padać na plac gdzie stałem. Przybyłe samochody podsunięto pod same mury domu. Stojącemu pod parkanem przy stacji oddziałowi rowerzystów polecono schronić się na drugą stronę, obok zaś gotujący się obiad na polowej kuchni polecono sprzątać.

Z różnych stron wracały podjazdy z raportami, które oficerowie skrzętnie notowali. Czasem któryś rzucił na mnie z pod oka spojrzenie w którym napróżno byś szukał zyczliwości. Jedyne jeden z pilnujących mnie wartowników—szlżak—szepnął nieznacznie: za co pana wzięli?

Wiadomość o zabranii mnie musiała się prędko rozjeść po mieście, gdyż na rogu za przejazdem ujrzałem znajome twarze, niektóre osoby nawet przeszły po trotuarze w stronę stacji i widziałem łzy w ich oczach, wtedy siłą woli panowałem nad sobą by nie okazać wobec Niemców najmniejszej słabości.

Wiedziałem, że sąd polowy kończy się prędko, a wyrok jeszcze prędzej, że w czasie wojennym życie ludzkie nic nie znaczy, gdyż na śmierć patrzyło się co chwila. Zapanowała we mnie zupełna rezygnacja, powiedziałem sobie, że mam umrzeć dziś, zaraz. Śmierć od kul karabinowych podobno lekka. Staralem się nie myśleć o niczem i o nikim.

Podobno członkowie komitetu obywatelskiego w osobach pp. Pastora Burschego, L. Gołębiowskiego, Al. Fickiego, M. Tatarzyńskiego i E. Balcera udali się prosić za mną, lecz ich już nie dopuszczono.

Zbliżała się chwila krytyczna, szrapnele rosyjskie coraz częściej padały w te miejsca, jakby umyślnie kierowane na sztab pruski. Dreszcz mną wstrząsnął febryczny i uczułem powiew chłodu,—lecz nie podniosłem kołnierza, by najmniejszym ruchem nie zdradzać jakiegokolwiek niepokoju. Nagle szrapnel wybuchnął tuż za parkanem kolejowym. Żołnierze stojący przy mnie, wystraszeni—poprowadzili mnie w bok nieco i staliśmy dalej. Nadbiegły w całym pędzie podjazd zaraportował widocznie o zbliżaniu się Rosjan, gdyż zakotłowało się w sztabie.

Po chwili zbliżył się adjutant z papierem jakimś w rękę i skinął na żołnierzy by mnie podprowadzili bliżej.

— Dowódca korpusu oświadcza panu przezemnie, że my walczymy z Rosją, nie z Polakami i nie chce burzyć narodu polskiego. Miałeś pan być przywiązany do latarni i rozstrzelany. Wódz życie panu daruje, lecz na przyszłość abys pan pisał obiektywniej i nie śmiał obrażać narodu niemieckiego. Jesteś pan wolny!...

— Dziękuję panu—rzekłem uchylając czapki, i skierowałem kroki w stronę swego domu.

W tym momencie cały sztab powiadał prędko do stojących samochodów i momentalnie ruszyli w stronę Łodzi. Szrapnele zaczęły zasypywać plac cały. Nastąpił istny dzień sądny. Skryć się nie ma gdzie. Lecz pomyślałem, że jeżeli uniknąłem kul niemieckich widocznie nie sądzonem mi było umierać, począłem iść dalej. Ludzie znajomi witają mnie ze łzami jakby z tamtego świata, nie spodziewali się mnie już zobaczyć, gdyż z tych co więci byli przez wojsko—nikt nie powracał. Wchodzę na Stary Rynek—księgarnia—z której mnie zabrano, zamknięta. W bramie i w sieni pełno ludzi chroniących się przed bombardowaniem; na mój widok krzyknęli: „żyj!” i rzucili się do mnie. Wtedy dopiero głos mi się nieco załamał i nie mogłem mówić.

Dzięki serdeczne Wam wszystkim za okazane wyrazy współczucia! Tych łez kilka, które widziałem w Waszych oczach skryształizują się perłami w mej duszy i ciążą będą wiecznie. Jakże bym pragnął oddać je Wam wszystkie, lecz nie w dniu niedoli, a w dniu Waszego szczęścia i radości. O, ja Wam je oddam....

Nagle rynek cały zaroił się wojskiem, szły od Warszawy pułki syberyjskie, pędząc Niemców przed sobą. Więc to przed nimi tak uciekali. Wojska rosyjskie bez zatrzymania pośpieszyły dalej—goniąc nieprzyjaciela.

Wśląd za wojskiem nadjechały samochody wiozące korespondentów wojennych. Już zdążyli dowiedzieć się o mojej tragedji i zażądali widzenia się ze mną, prosili o danie im numerów z owym artykułem, których jeszcze kilka ukryto przed niemiecką konfiskatą.

Poszliśmy razem do handlu Złotnickiego. Jednym z najsympatyczniejszych był znany i ceniony powieściopisarz i korespondent Niemirowicz Danczenko. Feljetony jego zarówno z wojny tureckiej jak i japońskiej były rozchwytywane. Pierwszy przybywał zwykle na pozycje za

co otrzymał aż 3 krzyże św. Jerzego, byli także: K. M. Szumskij, wojenny korespondent „Birżewych Wiedomostej” raniony pod portem Artura, nagrodzony złotą szablą i orderem Włodzimierza z mieczami; Mikołaj Iwanowicz Krawczenko, znakomity artysta malarz i korespondent-literat „Nowoje Wremja”;¹ Syromiatnikow S. H. piszący pod pseudonimem „Sigma”, wydelegowany przez „Prawitelstwiennij Wiestnik”; A. M. Fiedorow, korespondent „Rieczii” i „Kijewskoj Myśli”, Louis Nodie, znany korespondent wojenny „Journal de Paris”, Oba N.—japończyk, wojenny korespondent gazety „Asachi Schimbun”; Ninse i Moschbern dwaj korespondenci z Ameryki; oraz Mr. Pecarse, profesor uniwersytetu w Oxfordzie.

Goście bardzo się interesowali ostatnimi wypadkami w Łowiczu. Korespondent japoński mówił bardzo dobrze po rosyjsku, kończył akademię języków cudzoziemskich w Tokio. Pytał się o szczegóły miasta, ile jest mieszkańców, a ile w nich jest żydów. Podziwiał starożytność kolegiaty, lecz czas nie pozwolił zwiedzić jej wewnątrz. W Rosji przebywał od półtora roku.

A już postać Niemirowicza-Danczenki nadzwyczaj sympatyczne robiła wrażenie. Niski, krępy, z siwą krótką brodą, żywy, ruchliwy, o bystrych oczach, lat około 60, energiczny, zda się że wszystko dokoła obejmuje jednym spojrzeniem.

Goście po krótkim śniadaniu u Złotnickiego, składającym się z herbaty i szynki, odjechali samochodami na plac boju.

20 listopada 1914 r.

Zaledwie po przebytych wypadkach zaczęliśmy przychodzić do siebie i życie zaczęło powracać do normalnego trybu, gdy jak grom z jasnego nieba padła wieść, że Niemcy znowu idą na Łowicz. Dwa razy wytrwaliśmy, lecz nerwy się już wyczerpały; a wreszcie niewiadomo jacy ci będą, może się będą znęcać nad miastem? Te i tym podobne rozmowy zaczęły budzić panikę i rozpoczęła się formalna wędrówka narodów. Najprzód zaczęli się zbierać do ucieczki ci, co już po trzykroć nas opuścili, i jak owe żorawie często przestawali ze sobą, zwołując się i umawiając o dzień odjazdu. Następnie zaczęły się szykować rodziny całe, jedni kolejają—lecz tych, po 16 godzinach oczekiwania, zwrócono z drogi ze stacji Nieborów, że na razie niebezpieczeństwa niema; drudzy pieszo ruszyli do Skiernewic w noc ciemną i zimną, po błocie, byle ratować życie, inni znowu na bryczkach i platformach, wprost do Warszawy.

Nie dziwiliśmy się tym, którzy uciekali do Łowicza, z miejsc dotkniętych bezpośrednio działaniem wojny, z miejsc, gdzie wsie całe były zrównane z ziemią,—by w mieście znaleźć schronienie, lecz dziwiliśmy się tym, którzy uciekali z miasta przed niebezpieczeństwem nie istniejącem jeszcze w danej chwili. Szły całe wozy naładowane tobołkami i dziećmi, a za nimi całe tłumy ludzi. Jeden wóz zaprzężony w konie, istne koty, które nie mogły uciągnąć naładowanych tłumoków—był pchany przez kilkanaście kobiet, na zapytanie moje: „dokąd idziecie ludzie?”—„Przed siebie”—odpowiadały strwożone.

I ludzie ci w istocie szli przed siebie, w noc głuchą i ciemną, o głodzie i chłodzie, bez myśli gdzie dach i schronienie znajdują. Pomimo nawoływań naszych, że rzucacie ką własny, gdzie łatwiej wśród swoich o pomoc

i pociechę—idziecie na tułaczkę—gdzie was może jak żebraków przyjmować będą. Lecz głos nasz był głosem wołającego na puszczy. Ci szli na zatrąte w tę głuchą noc listopadową. Nie zdając sobie sprawy, strachem panicznym gnani—biegli za przewodnikami swemi, ludźmi bogatymi i inteligentnymi—wiedzącymi co robią.

Tak, ci bogatsi wiedzieli co robią. Uciekali,—bo chcieli spokojnie, zdala od pola bitew, spożywać owoce swej pracy zebrane w Łowiczu. Uciekali—by uniknąć przykrego widoku nędzy bliźniego, by nie wypadło dzielić się z nimi może kawałkiem chleba. Uciekali bo mogli sobie na to pozwolić, by nie słyszeć pękających nad głową bomb i granatów. Uciekali, by cały ciężar pracy społecznej i całą odpowiedzialność przed władzami wojennymi złożyć na barki tych nielicznych jednostek, które od początku wojny, z zaparciem siebie poświęcały się dla dobra miasta i bliźnich. Uciekali, by i od nich społeczeństwo nie zażądało jakiej ofiary.

Ale oni powrócą!— Wierz mi ludu!

Gdy jutrzeńka pokoju zabłyśnie, gdy zmilknie huk armat, gdy zaczniemy się liczyć ilu nas zostało, zjawią się wtedy i oni, staną w szeregach i sięgać będą by ująć ster w dłonie i będą cię, ludu, prowadzić na nowe tory życia i ukazywać nowe horyzonty szczęścia, pisać ci będą o obowiązkach względem bliźniego, będą wołać wielkim głosem; „Patrz ludu! jak ja pracuję dla ciebie!” Ale przy pierwszym nieszczęściu znowu cię porzucą—bo słowa ich są puste jak ich serca!....

24 listopada 1914 roku.

We wtorek 24 listopada rozeszła się wieść że wojska niemieckie znowu zbliżają się do Łowicza. I nie długo dali czekać na siebie. Padł pierwszy szrapnel i wywalił część muru obok okna wystawowego mojej księgarni, raniąc 1 człowieka i konia, od tej chwili zaczęło się formalne bombardowanie miasta. Ponieważ wysokie wieże Kolegiaty mogły być punktami obserwacyjnymi, Niemcy starali się je zwalić i wszystkie strzały skierowane były w tym kierunku, dla tego też najwięcej ucierpiała dzielnica Starego Rynku. Zewsząd dochodziły odgłosy pękających bomb, szrapneli i granatów. Coraz to jakiś dom wyleciał w powietrze.

Na ulicach leżały trupy mieszkańców których można było dopiero grzebać ukradkiem nocami, gdyż w dzień co kilka minut pocisk za pociskiem padał. Już i piwnice nie były dostatecznym zabezpieczeniem, bomba 50 cent. zniszczyła dom K. Trawińskiego miażdżąc w piwnicy rodzinę krawca Borenstejna. Byliśmy już tak zobojętniali i beznadziejni, że w każdej chwili oczekiwaliśmy śmierci. Od jednego do drugiego strzału upływało kilka minut, więc śmielsi wybiegali z piwnic i schronów po wodę lub chleb, lecz bardzo często nie wracali, zaścieleając sobą ulice i place.

Dużo osób schroniło się do Kolegiaty, lecz i tu nie czuli się bezpieczni, kilkanaście pocisków mniejszych trafiło w dach, wieże, lecz przeszły na wylot. Imponująca przedstawiała widok prastara ta świątynia w czasie największego bombardowania, gdy waliły się części gzymsów i okien, pękały granaty, a naród zebrany na kolanach śpiewał; „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny—zmiłuj się nad nami!” Ja myślą przeniosłem się w przeszłość i miałem złudzenie że byłem w Częstochowskiej świątyni obleganej przez Szwedów.

Gdy bombardowanie coraz bardziej się potęgowało, najodważniejsi nawet zwątpili, czy to piekło kiedy ustanie i zaczęli uciekać z miasta, które przedstawiało istne pobojuwisko leżących ludzi, koni, wozów połamanych i porozwalanych domów.

Największa ilość pocisków padła na fabrykę przetworów chemicznych i nawozów sztucznych towarzystwa polsko-belgijskiego. Wybudowana przed kilkunastu laty na lotnych piaskach pod Łowiczem, dawała pracę kilkuset robotnikom, kilkunastu urzędników i inżynierów powiększało zastęp inteligencji w mieście. Przy fabryce były pola doświadczalne, gdzie każdy mógł się naocznie przekonać jakie nawozy używać na piasku, by ziemia plon wydała i to siedlisko przemysłu i kultury zostało z ziemią zrównane. Kilkadziesiąt wagonów gotowych superfosfatów Niemcy wywieźli do Prus, jak również motory i maszyny elektryczne, cysterny ołowiane, nawet kable elektryczne powymowali z ziemi.

Ryli wszędzie szukając kociołków platynowych, lecz te wcześniej były wywiezione do Warszawy. Główną przyczyną zrównania z ziemią fabryki była jej przynależność do Belgijczyków, gdyż jak się później przekonałem w niewoli, Niemcy specjalnie się nad nimi znęcali za powstrzymanie ich pochodu przez Belgię.

18 grudnia 1914 r.

Po trzech tygodniach ustawicznego bombardowania Łowicza i przebywania pozostałych mieszkańców w piwnicach, huk armat nagle ustał. Ten i ów zaczął wysuwać się z kryjówki. Wychodziliśmy na miasto by się policzyć i obejrzeć ślady wojny. Wszędzie zniszczenie, a czego niedokonały niemieckie działa—rozgrabiła ludność—która pod gradem kul wyносиła z mieszkań i sklepów wszystko co się wynieść dało.

Obecnie jedynym marzeniem każdego było wypaść się, gdyż trzy tygodnie czuwania bardzo nas osłabiło, chodziliśmy jak cienie, lecz niestety i tego nam nie dano. Otrzymane pocztą pantoflową wiadomości doniosły, że Niemcy są już niedaleko, że będą lała chwila.

I nadszedł dzień 20 grudnia 1914 roku. Po południu ukazały się oddziały cyklistów z karabinami, za nimi kawalerja z bronią przygotowaną do strzału i dalej piechota składająca się przeważnie z landwery. Zatrzymali się na Starym Rynku—następnie zaczęło się rugowanie mieszkańców. Pozatykawszy tekturami powybijane okna powiedziałem sobie: nareszcie zasnę. W tem słyszę dobijanie się do drzwi, otwieram je—we drzwiach ukazuje się żołnierz—szlżak i mówi aby dać mieszkanie dla „sztab-arcta”. Na moją reklamację, że mam tylko jedno łóżko, odpowiedział: tak ma być i szlus! Wyniosłem się przeto z mieszkania na dół do kantoru, zabrałem kołdrę i garść bielizny—wszystko co mogłem wynieść! Do mieszkania więcej mnie nie puszczono i tę pierwszą noc miałem nareszcie mieć spokojną. Gdzietam! Co minuta dobijali się żołnierze to do drzwi, to do okien i każdemu trzeba było tłumaczyć, że łóżek nie ma, że sam nie mam gdzie spać. Po bezsennej nocy zdawało się, że już nareszcie Niemcy się rozlokowali i dadzą spokój mieszkańcom, tymczasem

codzień ku Warszawie szły nowe wojska i miały postój w Łowiczu—skazani przeto byliśmy na wieczny niepokój.

Na drugi dzień niemieccy żandarmi nakazali otwierać sklepy, lecz po to jedynie aby niemieccy żołdacy mogli je plądrować. Wchodzili, brali co chcieli bez pieniędzy, byli i uczciwi—co płacili. Gdy zorganizował się już zarząd niemiecki, zaczęto czynić wywiady o nieprawomyślnych mieszkańcach. Usłudni nasi przyjaciele z mniejszości w pierwszym rzędzie wskazali na mnie jako na człowieka, który największe musiał popełnić przestępstwo, gdyż go rozstrzelać chciano. I przybył do mnie do kantoru taki pan w urzędowej czapce, w towarzystwie żandarma i sprawdziwszy tożsamość osoby kazał mi iść z sobą. Nie pozwolił mi się nawet ruszyć, choćby dla wydania jakiegokolwiek dyspozycji i zaprowadził do domu, gdzie kiedyś mieszkał biskup Plater, tam była wojenna kancelarja. Spisał ze mnie protokół i zażądał paszportu. Przypomniałem sobie, że włożyłem do książeczki paszportowej świadectwo prawomyślności — jakie mi przysłał rosyjski naczelnik żandarmów po rozstrzelaniu telegrafisty Szulca przez księcia Abaszydze, podobno omyłkowo; chciałem je wyjąć z paszportu—lecz zauważył to i wyrwał mi z ręki; nie znając wówczas tych wszystkich form, obawiałem się by mnie nie wziął wskutek tego za jakiego szpiega, później dopiero, w niewoli, dowiedziałem się od oficerów, że wywiadowcy cywilni otrzymywali świadectwa od pułków z napisem, że okaziciel niniejszego jest „druhom ruskoj armiji!“

Po spisaniu protokołu, przywołał żołnierza z karabinem i odprowadził mnie na odwach mieszczący się w domu gdzie obecnie jest bursa Bartoszków. Na dole z prawej strony otworzył drzwi i wepchnął mnie do izby zadymionej, gdzie kilkunastu żołnierzy niemieckich leżało na słomie i polecił mnie pieczy wachmistrza, który miał nadzór nad placówką. Nowy komendant wskazał mi kąć na ziemi na słomie; no teraz chyba będę miał spokój, gdy mnie tak zacne strzeże grono, pomyślałem sobie.

Zaledwie zacząłem oswajać się z otoczeniem, wprowadzają tamże nowego gościa, sekretarza magistratu, Czychaczewa, jedynego prawosławnego człowieka, który pozostał w Łowiczu z obawy by mu nie zrabowano mieszkania, które miał urządzone dosyć przyzwoicie.

— Imnie aresztowano, ale nie wiem za co—rzekł zbliżając się do mnie. Pan przynajmniej coś tam pisał w gazecie,

ale ja za co? może jaki żyd co na mnie powiedział—bo mam dosyć nieprzyjaciół.

— Prawdopodobnie rzekłem—i mnie musiał jakiś przyjaciel oddać przysługę, gdyż ci co mnie sądzili albo zginęli, albo gdzieś walczą we Francji. Ci są zupełnie nowi, nawet nie wiedzieli, że istnieje jakiś tygodnik „Łowiczanin”. Trudno, trzeba się pogodzić z losem. Wojna pociąga za sobą wielkie ofiary, każdy musi coś złożyć na jej ołtarzu. Matki ofiarowują własnych synów, żony—mężów, inni mienie całe, widocznie i na mnie przyszła kolej poświęcić wolność osobistą. Najgorszym było to, że się nie wiedziało co dalej z człowiekiem zrobić.

Wojna! wyraz ten tłumaczy wszystko. Podczas wojny człowiek jest ziarnkiem piasku, muchą. Podczas wojny śmierć człowieka nie robi wrażenia większego—jak zgnicie mrówki pod stopą.

Co znaczy wtedy jakakolwiek opozycja. Każdy, któremu się twarz twoja nie podoba—może powiedzieć, że jesteś zbyt popularny, lub możesz być szkodliwy, i natychmiast cię usuną, wywiozą, lub zgniotą jak robaka.

Dnia następnego, to jest w czwartek 24 grudnia obudziłem się bardzo rano, a raczej wcale nie spałem, ponieważ będący na odwachu żołnierze, co godzina chodzili zmieniać warty. Wigilja Bożego Narodzenia! Leżąc na słomie, przebiegłem myślą życie całe. Odkąd zapamiętam od niemowlęstwa samego zawsze ten dzień wlewał dziwną radość do duszy. Tradycyjna wieczerza wigilijna, łamanie się opłatkiem, choinka, światła, wszystko to jakąś błogością rozjaśniało ściany nawet najuboższej chaty.

Zawsze dzień ten spędzałem w kole rodzinnym, to znowu u braci, wreszcie z domownikami,—dziś pierwszy raz ten dzień spędzę w towarzystwie żołnierzy niemieckich.

Przybyła do aresztu żona mego towarzysza niedoli, przynosząc mu pożywienie, którem się ze mną podzielił.

Mnie w areszcie nikt nie odwiedził, bo w Łowiczu pod ten czas nikogo z moich nie było. To też dziwnie się zaciąłem. Ogarnęła mnie jakaś apatia. Nikt za mną nie tęskni i nikomu potrzebny nie jestem. Cokolwiek się stanie, gdyby śmierć nawet—to może prędzej przybliży mnie do tych, co mi niegdyś drogimi byli na ziemi.

Jeden z żołnierzy przyniósł gałąź sosnową, i postawił ją w kacie, drugi przyniósł butelkę araku i zrobił z gorącej wody grok i pili pojadając chlebem i kiełbasą. Następnie zaczęli śpiewać kolendy niemieckie. Długo

w noc rozlegały się chóralne ich śpiewy, którym przysłuchiwaaliśmy się leżąc na ziemi.

Nadszedł uroczysty dzień Bożego Narodzenia. Witamy go w brudnej odzieży, od trzech dni nie myci, gdyż nie mieliśmy nawet wody do mycia. Około godz. 10 rano dano nam znać abyśmy byli gotowi do drogi. Do jakiej drogi? napróżno staraliśmy się odgadnąć. Feldfobel nasz na zapytanie—wzruszył jedynie ramionami.

Gdy wyprowadzono nas na ulicę, ujrzeliśmy grupę oficerów rosyjskich w liczbie 29 i 1500 żołnierzy wziętych do niewoli pod Łowiczem. Przyłączono nas do oficerów by razem wystać w głąb Niemiec, lecz dokąd—niepowiedziano.

Żołnierze przez czas dłuższy byli trzymani w Kolegacie, wyobrazić sobie można 1500 dzikich ludzi w kościele: palili na środku ogniska, gdyż było zimno, podsycając ogień drzewem z ławek i konfesjonatów, wypalili także wszystkie świece jakie tam się znajdowały. Istotnie tylko Niemcy mogli dopuścić się podobnej profanacji. Wszakżeż nawet w kościeła po-Pijarskiego zrobili garaż dla samochodów, a nawet wypuścili pocztówki z samochodem w kościele.

Stojąc na ulicy, zaledwie zdążyłem posłać do domu by mi przysłano trochę pieniędzy, lecz zamało było czasu by zabrać choć nieco bielizny. Na nogach miałem stare cienkie brązowe kamasze niezdatne do pieszej podróży. Około godziny 11-ej dano rozkaz wymarszu. Tak się rozpoczął pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Dzień był względnie pogodny i suchy. Za oficerami szła jednokonna podwoda, zabrana z Rynku w Łowiczu, właściciel jej niechciał jechać — pozostawił wóz i konia i uciekł. Kilku oficerów mając nogi pokaleczone — siadło na wóz—reszta ruszyła pieszo.

Eskortę stanowili huzarzy śmierci z trzema oficerami na czele. Mówiono, że mamy iść do Kutna pieszo, a stamtąd koleją w niewiadomym kierunku.

Na ulicy Podrzecznej spotkaliśmy kilku znajomych—lecz ci udali że nas nie znają, a nużby Niemcy ich przyłączyli do naszego pochodu! Strach ma wielkie oczy! Ruszyliśmy w stronę Żdun. Po drodze ciągle spotykaliśmy okopy wojskowe, połamane wozy, pozabijane konie i krzyże na polach, gdzie pochowano poległych w walce wojowników.

Pod Zdunami—wskutek wielkiego ruchu samochodów wojskowych niemieckich, droga stawała się błotnistą, a coraz dalej—nie do przebycia—trzeba było brnąć po kostki w błocie i co chwila ustępować samochodom na sam kraj rowu. Tu uczulem dopiero ciężkie warunki tej przymusowej podróży. Cienkie kamasze przemokły do cna a wyciąganie nóg z błota wyczerpało moje siły. Towarzysze widząc mój wysiłek, zrobili mi miejsce na wozie i tak dojechałem do Dobrzelina, gdzie mieliśmy nocować przebywszy około 25 wiorst.

W Dobrzelinie pomieszczono nas w kantorze technicznym. Spaliśmy na ziemi na słomie, żołnierzy zaś pomieszczono w magazynie. Tu dano nam jednocześnie obiad składający się z czarnej kawy bez cukru, chleba, wędzonki i zupy grochowej, mówiąc nawiasem bardzo dobrej. Mechanik Iwanowski, który w trzy miesiące później poszedł naszym śladem—przystał nam herbatę i rzuciliśmy się na słomę by wypocząć—lecz o spaniu nie było mowy.

Nazajutrz 27 grudnia o godz. 10-ej rano wyruszyliśmy w dalszą drogę w stronę Kutna, lecz tu już droga była istną Kalwarją. Srodkiem drogi ciągnęły się jednym sznurkiem tabory i samochody wojsk, my zaś bokami szosy po niedającym się opisać błocie, gdyż od rana deszcz zaczął padać. Na nogach nie miałem już kamaszy—lecz dwie kule błota. Kilka razy odpoczywaliśmy na drodze. Oficerowie i żołnierze siadali na mokrych stokach szosy. Pragnienie dokuczało nam wszystkim. Żołnierze jedli brudny śnieg leżący gdzieniegdzie w rowach lub pili wodę z przydrożnych kałuż. W czasie jednego z takich odpoczynków żołnierze natknęli się na kopce z burakami cukrowymi, i jeden z kopców prawie rozebrali, jedząc surowe buraki.

Na 9-ej wiorście od Kutna już nogi odmówiły mi posłuszeństwa — przysiadłem się na podwodę i tak dowiekliśmy się do miasta niepewni czy pojedziemy koleją czy iść będziemy tak do samej granicy. Po drodze kilka razy spotkaliśmy idące pułki w stronę Łowicza. Jedni ironicznie wołali: Nach Berlin! nach Berlin! a inni złowrogo wygrządzali nam pięściami. Na ogół twarze niemieckich żołnierzy były złe i wrogie.

Na rynku w Kutnie staliśmy kilka godzin oglądani ze wszystkich stron przez ciekawe tłumy i wojskowych z groźnie wyciągniętą dłonią, a zaś na nas dwóch cywilnych, wśród oficerów, ukazywali jak na szpiegów.

Komitet obywatelski Kutna przysłał nam i rozdał po kawałek chleba białego. Zobaczyła mnie mieszkanka Łowicza, żydówka, panna Szczawińska i zbliżyła się z zapytaniem czy czego nie potrzebuję. Byłbym bardzo obowiązany—gdyby pani mogła kupić czy dostać choć używane kalosze—lecz w tej chwili nadbiegł żołnierz niemiecki i odpędził ją—w każdym razie byłem jej wdzięczny za dobre chęci.

Nareszcie objawiono nam, że dalej mamy jechać koleją. Wiadomość ta ucieszyła nas wielce, jakimkolwiek wagonem, choćby platformą, byle nie iść w deszcz po tym rozmiękłym błocie. Wreszcie zaprowadzono nas na stację i tam pod murem w błocie staliśmy jeszcze sześć godzin zanim zaczęto ładować nas do wagonów. Dano nam tu również posiłek.

Najprzód ładowano żołnierzy, nas zaś z oficerami pozostawiono na koniec. Na naszą prośbę obiecano dać nam wagon III klasy i rzeczywiście zaczęliśmy się ładować do względnie przyzwoitego pomieszczenia. Po dłuższym wyczekiwaniu pociąg ruszył ku granicy.

Minąwszy Aleksandrów jechaliśmy dosyć prędko. Stacje migały jedne za drugimi. Wjechaliśmy w piękne góryste okolice Brandenburgji, śniegi wszędzie okryły pola, bardziej niż u nas. Jechaliśmy przez dzień 27 i 28 łącznie z nocami. Pod koniec 28 grudnia wjechaliśmy w okolice Pomeranji, tu już płaszczyzna, wiatr ostry, czuć było iż zbliżamy się w okolice morską.

Charakterystycznym było, że gdyśmy przejeżdżali przez niektóre miejscowości lub mosty—zasłanianio okna i niepozwalano nam wyglądać—tak Niemcy dbali o swoje tajemnice wojskowe.

Przejechawszy Szczecin i kilkanaście pomniejszych stacji, w nocy około godziny 12-ej stanęliśmy w Stralsundzie na wybrzeżu morza Bałtyckiego. W Szczecinie żołnierze zostali odseparowani i byli odesłani do innego obozu. Pomimo spóźnionej pory, na stacji tłumy ludzi oczekiwały jeńców, zawsze to widok ciekawy patrzeć na powalonego lwa.

Po wyjściu z wagonu i sprawdzeniu każdego, popędzono nas do miasta bardzo czystego i pięknie zabudowanego, na krańcu którego mieści się wysepka Dänholm, rodzaj fortecy, do której prowadzi droga wodna za pośrednictwem promu. Stanęliśmy na promie, lecz zanim rozbudowano przewoźników, czekaliśmy blisko 20 minut.

Była już godzina 3 w nocy, wiatr zimny i ostry dął od strony morza, przenikając nas do kości; chcieliśmy już dostać się do jakiegokolwiek spokojnego kąta by odpocząć i żeby nas już nie pędzono dalej.

Nareszcie zjawił się Charon, który miał nas przewieźć przez Styksu wody. Olbrzym, prawdziwy wilk morski w drewnianych sabotach, zaczął ciągnąć za linę, pomagało mu kilku innych, między którymi zauważyłem kilku żołnierzy rosyjskich wziętych dawniej do niewoli.

Stojąc na promie, na przeciwległym brzegu ujrzałem duży czerwony gmach. Gdyśmy przybyli do wyspy i gdy od lądu oddzieliły nas już morskie fale, miałem wrażenie, że znajduję się w rosyjskim Szliselburskim więzieniu na wyspie.

Gdy wysiedliśmy na ląd, obecny feldfelbel niemiecki wypowiedziawszy nam regulamin zachowywania się w obozie, porozprowadzał nas do odpowiednich pomieszczeń. Duży gmach z czerwonej cegły stanowił koszary wojskowe, ponieważ wojsko zajmujące go było na froncie, umieszczono nas przeto w salach wojskowych czysto wybielonych, o żelaznych siatkowych łózkach i wązkich szafach na rzeczy i produkty. Każda szafa służyła dla dwóch jeńców.

Oficerów porozmieszczano w salach większych po kilku, nam zaś z Czychaczewem dano mały pokoik na piętrze z widokiem na morze. Budynek ten był przeznaczony dla kwarantanny, z którego po obejrzeniu przez lekarza, po pięciu dniach mamy być przeniesieni do dalszych koszar na wyspie, gdzie panuje większa swoboda i gdzie można nawet nabywać książki.

Łóżka w naszej celi czysto zaślane, codziennie usługujący nam „deńszczyk”, rosjanin, wzięty do niewoli, pali w piecu, przynosi nam wodę i pożywienie składające się rano z kubka kawy białej i dwóch bułeczek z masłem, na obiad dostajemy zupę i po 2 kawałki cielęciny lub wieprzowiny z kartoflami, wieczorem po dwa kawałki chleba z szynką i serem. W miejscowym sklepie koszarowym zwanym „Kantina” zaopatrzyliśmy się w maszynkę spirytusową by móc wieczorem przygotować sobie herbatę i zaczęliśmy powoli przystosowywać się do nowych warunków życia, lecz widzieliśmy, że z trudnością nam to przyjdzie.

Po rozlokowaniu się—przekonałem się dopiero o skutkach tej pieszej podróży; paznogie bowiem u nóg zcier-

niały i poodchodziły od ciała, ponieważ całą drogę odbywaliśmy albo idąc z przyzmy kamieni na przyzmę, lub samym brzegiem rowu z powodu samochodów, gdzie instynktowo trzeba było palcami nóg wstrzymywać poślizgnięcia się—i utrzymywać równowagę. Wskutek tego musiałem cały tydzień kurować nogi. Na spacer przeznaczono nam z rana godzinę 10—11 zaś po południu od 2—3 na dziedzińcu przed kazarmami. Na ogół zdaje się, że stosunek z władzami będzie dobry, począwszy od komendanta, o którym mówią że jest człowiekiem przyzwoitym, jak również i tłumacz robi sympatyczne wrażenie, a skończywszy na naszym bezpośrednim zwierzchniku—feldfeblu—który jest człowiekiem ludzkim i wyrozumiałym, jakkolwiek jest służbistą, skład cały zarządu nic nie przedstawiał do życzenia. Gdyby tylko zostawiono nam więcej swobody, gdyby można chodzić wszędzie, nie w jedynie oznaczonym kącie—niewola ta nie byłaby tak ciężką.

Na trzeci dzień zjawił się w naszej celi feldfebel w towarzystwie pewnego pana, który się przedstawił jako doktor i polecił nam rozebrać się dla szczepienia ospy i cholery. Ospę zaszczepił nam na lewej ręce, zaś choleryę po lewej stronie piersi. Miejsce to niebawem narbrziało i przy dotknięciu uczuwało się ból, jak również przy podniesieniu ręki do góry.

Piątego dnia naszej bytności na wyspie, przypadł Nowy rok. O ile pamięcią sięgnę—dzień ten zawsze upływał w towarzystwie rozradowanych i rozjaśnionych twarzy. Bywały i wieczory Sylwestrowskie w Resursie i poufne zebrania w „Lutni”. My dzień ten smutno przepędzimy zdala od znajomych i blizkich sercu. Chociaż i biedny Łowicz na gruzach swoich nie lepsze będzie miał święto. W chwili naszego wyjazdu wszystkie niemal sklepy były porabowane, mieszkania zniszczone, sprzęty pomyślane, mieszkańcy uciekli i biedni nie będą nawet mieli do czego powrócić! Aż serce się kraje skoro się pomyśli jak niedawno miasteczko to kwitło życiem i ruchliwie się rozwijało; w kilka tygodni z wszystkiego pozostała ruina.



1 stycznia 1915 roku.

O godzinie 8 rano wszedł posługujący nam „deńszczyk” i rzekł: „Pozdrawlaju was gospoda z niemieckim nowym godom!”—„Ty pozdrowi mnie z polskim nowym godom”—odrzekłem dając mu pół marki na chleb, którego żołnierze tu łakną, otrzymują bowiem tylko 8 funtów na 8 dni.

Ranek był mroźny, wicher tego dnia szalał, w nocy zaś wył jak potępieniec. Przez okno widać było często mijające się parowce oceaniczne bezpośredniej komunikacji z Malmö. Dalej na widnokręgu czerniały brzegi wyspy Rugji, niegdyś słowiańskiej. Wieczorem i w nocy często przyglądałem się światłom białym i czerwonym i wsłuchiwałem się w ryk syren okrętowych doniosłe i przeciągle huczących. O godzinie 10-ej wyszliśmy na zwykły spacer kręcąc się dookoła klombu karłowatych świerków, krzaczków bzu i biednych róż sztamowych, których maleńka korona z kilku składała się listków. Krzew ten widocznie zahartowały północne wichry, kiedy listki w koronie były jeszcze zielone. Również widniały krzaki leszczyny, wiklina czerwona, dosyć duże pączki kasztanów a i na brzoźowych krzewach były już zielone pączki. Albo zimy właściwej jeszcze tu niebyło, lub też dziwnie cała flora odporna jest na tutejszy klimat. Na trawnikach jedynie zielenieją mchy bardzo maleńkie i gdzie niedźmie młodziutki pokrzywki, których jeszcze mróz nie zwarzył!

Drugiego stycznia nad ranem około godziny 2-ej obudziła mnie jasność niezmierna. Cała część nieba od strony północnej lśniła wszystkimi kolorami tęczy, lecz przeważał pomarańczowy; w pierwszej chwili sądziłem że to łuna pożaru, na wschód słońca zawczasie, przypuszczając należy, że musiało to być refleksowe odbicie zorzy polarnej, która gdzieś na dalekiej błyszczała północy. Więcej

podobnego zjawiska nie widziałem. Tegoż dnia zawiadomiono nas, że o godzinie 9-ej kończy się nasza kwarantanna i że przejdziemy do innych koszar położonych dalej o kilkaset kroków.

Oficerowie zebrani już byli na dziedzińcu, zabrawszy więc swoje manatki, to jest imbryk do herbaty i inne drobiazgi kupione już tu na wyspie, ruszyliśmy w drogę. Po przybyciu na miejsce oddani zostaliśmy pod nadzór nowego zwierzchnika feldfebla-leutenaanta p. Marzanda, człowieka nadzwyczaj grzecznego i dobrego, gdyż kilkakrotnie miałem dowody jego uprzejmości. Najprzód na naszą prośbę dał nam na dwóch mały, nieprzechodni pokój opróżniony po jakimś wachmistrzu, gdzie byliśmy zupełnie niekępowani—na dole, jedynie „wacha” mogła przez okno zaglądać co robimy i gdy światło było o 10-ej wieczorem—walała do okna. Spacerować wolno nam było jedynie na dziedzińcu, nie w ogrodzie i nie wolno nam było komunikować się z oficerami i chodzić do ich kwater a nawet było pożądanem, abyśmy i przy spotkaniu z nimi nie rozmawiali.

Okolo południa przełożony nasz wezwał nas do kancelarii i po spisaniu wiadomości o nas, oświadczył, że będziemy na prawach oficerów wziętych do niewoli i pobierać będziemy 60 marek miesięcznie, z których 45 m. będzie się stracać na nasze utrzymanie. Śniadanie i kolację będzie nam przynosić do mieszkania „deńszczyk”, zaś obiad będziemy spożywali wspólnie z oficerami w „Kantynie”. Każde kazarmy miały swoją „Kantynę”, gdzie oprócz wszelkich przedmiotów codziennego użytku, można dostać oddzielne obiady, kolacje, mleko, czekoladę, piwo, a nawet i wódkę, tę ostatnią niekiedy pod pewnymi warunkami. Ponieważ nietylko oficerowie wzięci z okopów, ale i my przyjechalismy do niewoli jakeśmy stali, przeto poczawszy od kamaszy aż do koszuli i chustek—wszystko trzeba było kupić i to wszystko tam znaleźliśmy. Jeżeli zaś czego sklep nie posiadał, to sprowadzał z pobliskiego miasta Stralsundu.

Nasz zwierzchnik wręczył nam opaski na rękawy z białego płótna, opatrzone pieczęciami z napisem: „Stralsund Offizier Gefangenen Lager. Dänholm”. Oficerowie będący w formie wojskowej powyższych opasek nie posiadali, stosowane one były jedynie do ubrań cywilnych.

W „Kantynie” były na środku stoły i ławy i wolno było tam przebywać do godziny 8-ej wieczorem, zaś o go-

dzinie 10-ej wieczorem wszystkie światła we wszystkich salach musiały być pogaszone.

Dawniej podobno panowała tu większa swoboda, wolno było pojechać do miasta, a nawet łódką na morze, lecz z powodu, że niektórzy oficerowie nadużywali tej wolności zapuszczając się za daleko, lub też nie wracali w swoim czasie,—wprowadzono ograniczenia.

Dnie 3, 4 i 5 stycznia upłynęły nam monotennie, przed południem godzina spaceru na dziedzińcu, po południu druga. Zawsze przywykłem do pracy i dziwnem mi się wydało rozporządzanie tak wielką ilością wolnych godzin. Zazdrościłem często pracownikom biurowym, którzy już od godziny 3-ej byli wolni, spędzając ten czas na siedzeniu w cukierniach, graniu w bilard, spacerach na stację, gdy jeszcze wolne było wejście na peron. Myślałem nieraz, że posiadając tyle czasu—ile to różnych rzeczy możnaby napisać, ile referatów opracować. Ponieważ znalazłem się obecnie w tym samym położeniu, postanowiłem jakoś ten czas zużytkować. Pierwszą myślą było prowadzenie pamiętnika z pobytu w niewoli, lecz to nie mogło wypełnić całego dnia. Postanowiłem przeto wprowadzić w czyn myśl, z którą się dawno nosiłem, napisania dla małych dzieci powiastek i bajek, któreby im matki mogły czytać, zaś starsze czytałyby same. Zwykle lubiłem opowiadać podobne bajki swoim i cudzym dzieciom, wiedziałem więc z doświadczenia czem się one najbardziej interesują i jak je zająć należy. Wziąłem się więc do pracy, tym sposobem czas mi się wypełnił i niewola moja znośniejszą się stała. Towarzysz mój nie nudził się wcale, bardzo prędko zapoznał się z pobratymcami swemi i wymykał się do nich. Po całych dniach „wintili i kutili”. Często od rana, często od obiadu znikał—wracając dopiero o 10-ej, słowem, każdy z nas ułożył sobie życie podług swej woli.

6 Stycznia około godziny 5-ej wieczorem polecono nam wszystkim łącznie z oficerami udać się na drugą stronę wyspy do innych kazarm, gdzie nam mają jeszcze zaszczyć tyfus, i tym sposobem uczynić nas nieśmiertelnymi.

Udaliśmy się na wskazane miejsce eskortowani przez „wachę” i po kolei wchodziliśmy do sali, gdzie obecny doktor z felczerem dokonywali tej operacji. Tyfus szczepiono w tym samym miejscu gdzie cholera. t. j. na lewej stronie piersi. Czy igła była grubsza, czy bardziej tępa, lecz ukłucie było boleśniejsze, rozrywające. Uczucie bólu

i później było silniejsze, zaś przy dotknięciu, po kilku nawet dniach potęgowało się.

8 Stycznia na dziedzińcu podczas spaceru ujrzałem doktora Wieczorkiewicza z Żychlina, którego aresztowano i przysłano do Dänholmu wraz z dyrektorem cukrowni panem Kopciem. Ucieszyłem się, że będzie nam weselej razem, tymczasem na drugi dzień dowiedziałem się, że ich umieszczono w innych koszarach. Podobno doktorowi Wieczorkiewiczowi zarzucili niemcy, że w mieszkaniach które chcieli zarekwirować zapuścił sztuczny tyfus, aby ich wytruć, co ostatecznie sprawdzonem nie zostało.

Towarzysz mojej niedoli, Czyczaczew z początku rzucał się jak tygrys w klatce, wołając ustawicznie: „za co oni mnie zabrali?” Ja mu zwykle odpowiadałem jednym wyrazem: „wojna”. Porozpisywał podania do wszystkich władz niemieckich, nawet do konsula hiszpańskiego— który się opiekował rosyjskimi poddanymi.

Dnia 12 Stycznia w południe, gdyśmy się przechadzali po dziedzińcu, zbliżył się do nas komendant fortu, oberleutnant Ringk i zapytał czy nie mamy jakiej prośby. W odpowiedzi rzekliśmy, że mamy prośbę aby nas odesłano do ojczyzny, gdyż właściwie nie wiemy za co nas zabrano. Roześmiał się i zwrócił do obecnych oficerów ze słowami:

— Dla czego panowie tu się znajdujecie—wszyscy wiemy, lecz dla czego tych panów tu przysłano, ja sam nawet nie wiem.

13 Stycznia o godzinie 6-ej wieczorem wezwano nas znowu dla powtórnego szczepienia cholery. Szczepiono ją także na tym samym miejscu co tyfus, a że po tyfusie zostało jeszcze bolesne nabrzmienie, więc ból przy szczepieniu był nieznośny. Pocieszają nas, że tyfus mają jeszcze dwa razy szczepić.

Gazet żadnych, nawet niemieckich czytać nam nie wolno, niekiedy tylko dochodzą nas wiadomości pantoflowe sprzeczne z sobą. Jedni oficerowie z tajemniczą miną szepczą, że Przemyśl wzięty przez Rosjan, i że od Warszawy Niemcy odeszli na 130 wiorst, czyli że są za Kutnem, inni znowu mówią, że są tak w Łowiczu mocno ufortyfikowani, że niepodobieństwem jest by Rosjanie odebrali Łowicz. Jeszcze inni mówią, że ma być zebranie delegatów dla omówienia warunków zawieszenia broni.

Wiadomości te tak są różnorodne, że niczemu wierzyć nie można.

Wysłałem listy do Łowicza i do Warszawy, lecz nie mam żadnej odpowiedzi. Listy do Warszawy idą przez Szwecję, do Łowicza pocztą polową pruską, o ile wojska niemieckie tam się znajdują. Najbardziej dręczącą jest niepewność co się tam dzieje, gdy wyjazd nastąpił nagle i nie można było nawet odpowiednich poczynić zarządzeń.

Dnie zaczynają się dłużyć. Niemożność wychodzenia na spacer w każdym czasie tylko w pewnych godzinach i to na dziedzińcu—przypomina niewolę. Jedynie przez okno możemy się patrzeć na ogród, po którym chodzą kury, wróble i między niemi kos.

W dniu 18 stycznia zauważyliśmy lecące dzikie gęsi w południową stronę. Szczęśliwe—że wolne! W tymże dniu znowu zrobiono nam przyjemność z tyfusem. Niektórzy oficerowie starali się uchylić od tej operacji, większość jednak poddawała się jej.

27 stycznia 1915 r.

Dziś na spacerze spotkałem tu świeżo przybyłych towarzyszków niedoli: redaktora „Rozwoju” Czajewskiego Wiktora i dwóch panów Łuba: ojca i syna, właścicieli dystrylarni z Łodzi.

Dwa razy w tygodniu w środy i soboty pozwolono nam odwiedzać inne kazarmy, z czego korzystamy chętnie. Również pozwolono nam spacerować po ogrodzie należącym do kazarm, co już stanowiło pewną rozmaitość, oraz wolno było odtąd spacerować w każdej porze dnia, lecz poświęcaliśmy na to jak i dawniej godzinę rano i godzinę od 5—6 po południu.

W liczbie jeńców oficerów uderza bardzo wielki procent jeńców „praporszczyków zapasa”, zaś oficerów kadrowych jest stosunkowo mało, robi to wrażenie jak gdyby ci ostatni nie wysuwali się na bardziej zagrożone punkty. Rozumie się jak wszędzie tak i tu są ludzie różnych usposobień i charakterów, lecz przeważnie zachowywali się hałaśliwie. Przy najmniejszej okazji imienin lub świąt, odbywały się głośnie libacje z chóralnymi śpiewami gdzie przeważała pieśń: „Piej, piej, toska prajdiot”, a ponieważ „toska” nie przechodziła, więc pito *da capo al fine*, ze wszystkimi następstwami morskiej choroby, a ponieważ łóżka tu stały szeregiem przy sobie, więc nieraz śpiący spokojnie i Bogu ducha winien sąsiad—został formalnie zasypany lawą jak z wulkanu, organicznymi produktami nienależycie przetrawionymi. A czasem był i taki pechowiec, którego z dwóch stron jednocześnie udarowano nadmiarem alkoholu i produktów.

Podobne ekscesy wywołały ze strony komendanta zakaz sprzedawania oficerom napojów wyskokowych, wolno było jedynie sprzedawać piwo—lecz to nic nie pomagało, gdy się zdarzyła okazja—zawsze skądś potrafili zdobyć dwie lub trzy butelki.

Duża część oficerów poświęcała się rozlicznym zajęciom naukowym, niektórzy studjowali język niemiecki lub francuski, inni malarstwo, mechanikę, literaturę, a byli to przeważnie oficerowie rezerwy, technicy, profesorowie, inżynierowie, lecz duża część, zwłaszcza oficerów kadrowych, oddawała się jedynie grze w karty.

Hazard miał też swoich zwolenników. Preferansą grali przeważnie ludzie fachowi, którzy w życiu codziennem zajmowali stanowiska odpowiedzialne: inżynierów, dyrektorów i t. p. i nie zawsze mieli czas wolny wieczorami by sobie na grę w karty pozwalać.

Bardziej namiętnych graczy miał wint i to po wszystkich salach, można go było rozeznąć po ustawicznie rozlegających się klótniach i wymyslach.

Nieraz ludzie rozchodzący się wieczorem jako nieprzejednani, że jeden drugiego wpakował na płatkę, nazajutrz w najlepszej komitywie nową rozpoczynali grę.

Śledząc bacznie usposobienia i charaktery ludzkie można przyjść do wniosku, że ludzie namiętnie poświęcający się kartom zatracają równowagę, i całe ich życie codzienne skierowane jest jedynie do tego aby zyskać największą sumę czasu na grę w karty. Wypalają przy tem tak wielką ilość papierosów i wypijają dużą ilość piwa, że są potrójnie podnieceni, aż do niepoczytalności i jeżeli zdarzyło mi się widzieć awantury i skandale, to jedynie wywołane przez ludzi tego typu. Miałem sposobność zaobserwować również, że ludzie namiętnie grywający w karty byli nieakuratni, leniwi, praca ich nużyła, byli apatyczni, nieobowiązkowi, natomiast przeobrażali się, tryskali nawet dowcipem, gdy siadali do kart. Gdy gra się rozpoczęła—nic już koło siebie nie widzieli, pochłonięci przez nią. Żadne najżywotniejsze sprawy nie istniały dla nich. Na chwilę wyprowadza ich z tego stanu kolacja, od której niemal przed końcem, uciekają znowu do winta.

Chorobą tą dotknięci są niestety niemal wszyscy inteligenci na prowincji, wskutek tego tak słabo życie społeczne i umysłowe u nas się rozwija. Twierdzenie moje miałem sposobność ustalić w kilka lat po powrocie z niewoli. Gdy inżynier Pilarski powróciwszy świeżo z Bolszewji wypowiedział bardzo interesujący odczyt w Klubie łowic-

kim o istniejących w Bolszewji stosunkach i sytuacji—od kilku wintowych i brydżowych stolików w sąsiedniej sali ani jeden pan nie wstał by posłuchać.

Obserwacje te nasunęły mi uwagę, że przy zbieraniu opinji o solidności danej osoby—należałoby pomieszczać jeszcze rubrykę: „Czy grywa namiętnie w karty..?” Ale odbiegłem od przedmiotu.

27 lutego 1915 r.

Dziwna tu jest pogoda. Wieczorem mróz kilkustopniowy, śnieg, zawieja, zaś za godzinę słońce, śnieg stopiony, tworzy się błoto, a za kilka godzin błoto wyschło lub wsiąkło w ziemię. W chwili gdy to piszę pączki na drzewach są duże i zielone. Odgrzebawszy liście leżące pod drzewami, można widzieć wydobywającą się roślinność. Pięknie tu rosną graby, pień gładki, wysoki, gruby, u góry jedynie gęsta korona. Kasztany i dęby rozwijają się normalnie. Tuje trzymają się wspaniale, ładnie rośnie japońska sosna, również świerki i leszczyny,—te ostatnie tworzą kępy olbrzymie, średnicy po jednej stopie każda odnoża przy ziemi, zaś wysokości kilkanaście metrów. Przypuszczam, że drzewa muszą tu być gęsto liśćmi okryte, gdyż w koronie jest taka ilość drobnych gałązek, że zakrywają słońce. Jest tu wspaniały okaz lipy około metra średnicy, lecz w miejscu gdzie się pień kończy a rozpoczynają konary, wyrosła tak wielka ilość długich, cienkich, pojedynczych prętów, że tworzą formalną, olbrzymią wiechę i defigurują drzewo. Specjaliści mienią to chorobą lipy. Znajdują się tutaj także dwa dęby z tablicami na pamiątkę bytności cesarza Wilhelma I i Bismarka.

Raz na tydzień każdy jeniec może korzystać z łaźni. Jest to właściwie prysznic z ciepłej morskiej słonej wody. A ponieważ jest tam dookoła stojącej na środku ławy 10 wylotów—tyle tylko osób może naraz się myć. Po trzykrotnym natrysku, przychodzą następni. Nie znając jeszcze własności wody słonej, a pragnąc po przebytych trudach umyć się należycie, obficie namydliłem głowę, wskutek czego włosy tak mi się zlepily, że nie mogłem się uczesać i kilka dni chodziłem ze strakami; zanim w słodkiej wodzie zdołałem je odmyć.

Pragnąc zmienić szkła swoich okularów, zrobiłem podanie do komendanta o pozwolenie pójścia do miasta, by dobrać szkła. Po kilku dniach przydzielono mi starszego podoficera, znającego język rosyjski, pracował bowiem jako prowizor farmacji w Moskwie, i udaliśmy się do Stralsundu. By w mieście nie zwracano na mnie uwagi prosiłem żeby mi pozwolił zdjąć opaskę, na co chętnie się zgodził. I po dwóch miesiącach niewoli szedłem sobie ulicą jak człowiek wolny, to jest mogący iść gdzie mu się podoba, jakkolwiek w towarzystwie.

Stralsund, miasto mające około 35.000 mieszkańców, posiadające swój dziennik „Stralsunder Anzeiger”, tramwaje, elektryczność, wodociągi i wszelkie udogodnienia nowoczesne, jest nadzwyczaj czyste, lecz robi wrażenie martwe, może to wskutek wojny nie ma tego życia i ruchu jakim się odznaczają nasze większe powiatowe miasta jak Włocławek lub Częstochowa. Jest tu zupełny brak dorożek, zaś tramwaje nie po wszystkich chodzą ulicach. Miasto jest starodawne, większa część domów stoi szczytami do frontu, jakie jeszcze w Łowiczu można spotkać na Nowym Rynku. Ulice nie długie, często wijące się w rodzaju Zapiecków i Krzywych Kół w dzielnicy Staromiejskiej w Warszawie. Wystawy sklepów bogate, lecz zadawałem sobie pytanie: dla kogo to wszystko, gdy w żadnym sklepie nie widziałem kupujących. Mężczyzn spotykałem przeważnie w wieku starszym, lub też dzieci, w średnim wieku prawdopodobnie znajdowali się na wojnie. Najwięcej spotykało się wojskowych przyjeżdżających na krótkie urlopy, gdy była cisza na danym odcinku. W restauracji w podziemiach w „Rathausie” wszystkie prawie miejsca zajęte były przez wojskowych, zaledwie przy jednym stoliku siedziało kilku cywilnych. Gdyśmy usiedli obok i zacząłem ze swym przewodnikiem rozmawiać po rosyjsku, jak za dotknięciem iskry elektrycznej wszyscy zwrócili się w naszą stronę i chociaż nie rozmawialiśmy wiele i nie głośno, ciągle nas obserwowano z pod oka.

Pomimo, iż od tygodnia zaprzestano nam dawać chleb do obiadu, a chleb tu jest wypiekany z dużym procentem gotowanych kartofli, obiad jednak podano obfity, smacznie przyrządzony za stosunkowo nie wysoką cenę, gdyż 2 marki i 10 fenigów na osobę, za 1 kieliszek koniaku, 1 kufel piwa, porcję zupy pomidorowej, kilka sporych kawałków pieczeni, oraz klusek kartoflanych

dużych okrągłych (z tartych surowych kartofli) i szklanę kawy białej.

Zaraz po obiedzie nie chcąc nadużywać czasu mego przewodnika udałem się po resztę sprawunków.

Po drodze zauważyłem dwa bogate sklepy z żywemi kwiatami i pomyślałem, na co dziś one przydać się mogą w tych ciężkich dniach żałoby na całym prawie świecie,—chyba tylko na grobowce.

Wogóle miasto robiło na mnie wrażenie obumarłego, lub w którym nagle życie jakimś kataklizmem zostało zatrzymane. W oknach na parterach nie widziałem żadnych twarzy; zajrzałem naumyślnie do jednego takiego lokalu od ulicy: mały salonik, czyściutki lecz nigdzie żywej duszy, to samo i w innych. Nigdzie na ulicach rozśmieanych twarzy, wszędzie powaga, nawet dzieci szły nie wesołe. Zdala tylko na stawie dojrzałem kilkanaście osób ślizgających się na łyżwach.

Po załatwieniu sprawunków udaliśmy się z powrotem i gdy wstąpiłem na prom i ujrzałem na przeciwległym brzegu czerwony budynek kwarantannowy, zdawało mi się że udaję się na pogrzebanie żywcem.

Wracając do swojej „Stube” brzegiem wyspy, zauważyłem kilka dobrze rosnących drzew morwowych, lecz owoce poschły na drzewach. Dziwiłem się, że Niemcy zawsze tacy praktyczni, nie spożytkowali jagód na konfitury, soki lub wino owocowe.

Stałym naszym gościem jest wojskowy doktor lejbgwardji litewskiego pułku p. Gracjański, wzięty do niewoli w Tomaszowie, gdy jechał do swego oddziału. Człowiek inteligentny i sympatyczny, cieszący się dużą popularnością nawet wśród Niemców; uproszony przez komendanta, codziennie chodził do „okołodka” przyjmować oficerów przychodzących z lżejszemi niedomaganiem, ciężej bowiem chorzy odstawiani byli do szpitala w Stralsundzie.

Z doktorem G. codziennie zasiadamy i wertujemy ostatnie wiadomości „Stralsunder Anzeiger”, lub „Norddeutsche Allgemein Zeitung”—te bowiem tylko pisma mają tu dozwolony debiut. Pomagamy sobie wspólnie przy pomocy lilipucich słowniczków, które tu można kupić. Na nowo musieliśmy przyswajać sobie wyrazy—które od czasów szkolnych przez lat kilkadziesiąt nie będące w użyciu—znikły nam z pamięci.

Pewnego razu doktor przyszedł z kancelarii komendanta z alarmującą wiadomością, że mają nas wszystkich wywieźć z wyspy w głąb Niemiec. Rozdzielić nas mają na trzy partje, jedną wysłać do Halle, drugą do Torgau, trzecią do Magdeburga. Wiadomość ta wszystkich przerażała, dla tego, że tu już przyzwyczailiśmy się do otoczenia i warunków, a powtórę uciążliwą znowu będzie droga a może i pieszo iść wypadnie. Wreszcie tu znaleźliśmy się niemal wszyscy i zżyliśmy się w nieszczęściu, więc nawet przykro byłoby się rozstawać. A ponieważ miało to być dopiero za 15 dni, więc myśleliśmy, że się jeszcze odmieni.

Tymczasem nie długo po bitwie na Mazurskich Jeziorach dano nam znać, żeby jutro na 9-tą przygotować się do drogi, gdyż wyjeżdżamy by opróżnić koszary dla nowych jeńców oficerów z Jezior Mazurskich, którzy tu jak wszyscy, muszą odbyć kwarantannę. Radzi nie radzi zaczęliśmy się pakować i po wczesnym obiedzie o godzinie 12-ej w południe pod eskortą żołnierzy z nabitemi karabinami—zaprowadzono nas do kawalerskiego wielkiego maneżu, pustego obecnie i tam sprawdzono listę, następnie po 4-ch wyszliśmy na plac. W ostatniej już chwili, gdy mieliśmy wychodzić—komendant zawiadomił, że cywilni jeńcy zostają, jak również kilku chorych oficerów.

Na razie nie wiedzieliśmy, czy się radować czy smucić, lecz przez pozostawienie nas, zdawało nam się, że może prędzej odzyskamy wolność, a tam w głębi Niemiec zapomną o nas.

Pożegnawszy się z towarzyszami, zaczęliśmy rozpakowywać swe manatki i przez 3 dni byliśmy sami w V kasernie, redaktor Czajewski i dwaj panowie Łuba z Łodzi, doktor zaś Wieczorkiewicz i dyrektor Kopeć zostali przedtem uwolnieni.

Na trzeci dzień zaczęły przybywać transporty oficerów, znowu przeważnie praporszczyków zapasu, chociaż byli i oficerowie wyższych stopni aż do generałów włącznie.

Na ostatku przybył dowódca X korpusu armji Samsonowa wraz z swym sztabem, generał piechoty, z pagonami gładkimi bez żadnych gwiazdek jedynie z cyfrą korpusu na epoletach. Nazwiska jego nie zapamiętałem, lecz był to człowiek lat około 50, średniego wzrostu z niedużemi wąsami, średniej tuszy w zwykłej bekieszy szarej, do której były przypięte epolety. Pomimo, że w jego korpusie było kilkunastu lekarzy, nawet w rangach radców

stanu, jednak odwiedzał go często dla porady znajomy nasz dr. Gracjański. Generałowi temu przyglądałem się tym uważniej, że podobno on w dużej mierze zmniejszył klęskę Samsonowa zatrzymując przez czas dłuższy dwa niemieckie korpusy, a tym samym przyczynił się do dłuższego odciążenia wojsk niemieckich od francuskiego frontu, co naturalnie francuzi znakomicie wyzyskali.

Po zabranii przez Niemców pociągu w Wierzbolowie, przysłano do Dänholmu kilku urzędników pocztowych i komunikacji, między którymi był technik, p. Jarocki, z którym zaznajomiliśmy się bliżej.

Ponieważ z jeńcami przybyło dwóch prawosławnych duchownych, przeto w niedzielę 28 lutego w ujeżdźalni miało się odbyć nabożeństwo prawosławne. Chcąc przyrzec się bliżej nowo przybyłym oficerom z Mazurskich Jezior, udałem się do owej olbrzymiej szopy, o której już wspomniałem.

W samym końcu wielkiego maneżu przed stołem nakrytym białą serwetką, z umieszczonym na nim maleńkim obrazkiem, stał młody pop prawosławny z długimi blond włosami i niedużą jasną brodą. Rzewne robiła wrażenie ta twarz ascetyczna i śpiewny łagodny głos, gdy w głębokiej skrusze bił pokłony przed tym ubogim ołtarzem w szopie stajennej.

Zebrani oficerowie ze swym dowódcą na czele rzeczywiście wyobrażali wojowników, którzy wszystkie trudy wojny przenieśli, twarze ogorzałe, niegolone, zczerniałe prawie, w podartym obuwiu, generałowie w zniszczonych żołnierskich szynelach, jednak wzbudzali swą marsową postawą mimowoli szacunek—tak, ci ludzie mogliby zwyciężać, gdyby mieli wodzów miłujących swą ojczyznę, gdyby mieli rząd narodowy, gdyby mieli nad granicą drogi żelazne, których ze względów strategicznych u nas nie pozwolono budować i gdyby żołnierze mieli naboże, których im ustawicznie brakowało, jak sami oficerowie zeznawali.

Gdy pod koniec nabożeństwa duchowny zbliżył się do dowódcy korpusu i dał mu krzyż do pocałowania—generał wtedy zbliżył się do ołtarza—a każdy z oficerów pocałowawszy krzyż oddawał mu głęboki ukłon, na który generał każdemu się odwzajemniał—ceremonja ta trwała aż do ostatniego oficera, gdyż każdy przystępował podług stopnia.

Zorganizowany naprędce chór z oficerów-amatorów śpiewał podczas nabożeństwa odpowiednie pieśni, nawet bardzo dobrze, jednak dziwnie głęboko przenikał mi do duszy ten cichy, żalony i drżący głos tego duchownego niewolnika, który swym bólem i pokorą zdawał się przebijać stropy maneżu i miałem wrażenie, że stojącą u drzwi z bagnetami wartę nieznana usunie siła i rozpadną się ściany maneżu i głos usłyszę z wysoka: „Wyprowadzam cię z niewoli!”

Te same uczucia ogarnęły widocznie serca wszystkich, gdyż skupili się w głębokiej ciszy. A byli tu ludzie różnych sfer społecznych: wojskowi wszystkich stopni, doktorzy, profesorowie, dziennikarze, obywatele ziemscy i urzędnicy. Niewola zbliżyła ich do siebie. Każdy jedną miał tylko prośbę: „Do ojczyzny naszej powróć nas Panie”.

I opuściwszy ów ubogi przybytek bez kolumn marmurowych i złożonych ścian, bez niebotycznych bizantyjskich stropów, zdawało mi się, że ten drżący i bolesny głos sługi bożego przebił to nędzne pokrycie szopy i biegł z tej samotnej wyspy ponad morze Bałtyckie, hen ponad śnieżne chmury i rozplątał się przed tronem Najwyższego w słowach: Zmiłuj się nad nami!

7 marca 1915 r.

Obfity śnieg zasypał naszą wyspę. Zatoki trochę pokryte lodem, chociaż ptactwo zaczyna już wywodzić swoje trele. Przedewszystkiem jak wszędzie wrony robią dużo krzyku, lecz odzywają się kosy i zięby; wróble na ogół jest tu mało, trzymają się jedynie przy domach mieszkalnych.

Królików na wyspie jest dużo i czynią znaczne szkody objadając pędy młodych drzewek i krzewów, w nocy słysząc częste strzały, to amatorzy myślistwa, żołnierze niemieccy, urządzają sobie polowanie na króliki.

Zapasy w Prusach widocznie się już wyczerpują, gdyż ograniczenia co do chleba są coraz większe. Ponieważ zwykle rano dają do kawy, już prawie czarnej, dwa cienkie plasterki chleba $1\frac{1}{2}$ centymetra grubości, niektórym to nie wystarczało, mogli sobie przeto chleb kupować w Kantine, obecnie ograniczono sprzedaż chleba tak dalece, że tylko niekiedy można kupić pół bochenka. Również na kolację otrzymuje każdy dwa kawałki tej grubości co rano z cienkim plasterkiem szynki lub kiszki, herbatę i cukier teraz musimy już mieć swoje. Obiad składa się z talerza rzadkiej zupy, czasem z kaszką, czasem z makaronem którego dwa lub trzy kawałeczki pływają, czasem krupnik z kartoflami, i do tego dwa cienkie plasterki mięsa gotowanego z kilkoma kartoflami i po 3 łyżki sosu do tych kartofli. Rozumie się, że obiad taki nie wystarczał niejednemu i dopełniał go chlebem, lecz wobec nie sprzedawania chleba, wielu jest głodnych, tembardziej, że rosjanie każdą potrawę, a nawet leguminę zwykle jadają z chlebem—tak mi przynajmniej opowiadali.

8 marca zawiadomiono nas aby się pakować gdyż nazajutrz 9 marca o 7-ej rano wyjeżdżamy do innej miejscowości, oficerowie gdzieindziej, zaś cywilni do miasta

Celle nad rzeką Aller, na północ od Hannoveru, znajdującego się na tejże samej szerokości geograficznej co Warszawa i Berlin, odległe od Berlina na zachód około 200 kilometrów. Nie przeraża mnie droga sama, tylko nieprzyjemne są uwagi robione przez Niemców gdy trzeba się przesiadać lub iść od stacji do miejsca przeznaczenia. Żałowałem także, że nie będę mógł na wyspie obserwować rozkwitu wszystkich drzew i krzewów z którymi się tu poznałem.

W dniu oznaczonym zbudzono nas o godzinie 4-iej rano i kazano szykować się do drogi. Zamiast obiadu dano nam kilka butersznitów, które nam miały wystarczyć na cały dzień. Gdyśmy wyszli na dziedziniec, uszykowano nas czwórkami i w otoczeniu warty ruszyliśmy z wyspy w stronę promu, by ją opuścić na zawsze po przeszło dwumiesięcznym pobycie.

Na stacji cywilnych umieszczono w oddzielnym przedziale, gdyż ci mieli być wysłani w inną okolicę. Do konwojowania nas czterech przeznaczono jednego podoficera i żołnierza. Żołnierz okazał się poznańczykiem, dobrym patriotą polskim i z całej duszy pragnął, aby Polska była połączona w jedną całość. Bał się z nami rozmawiać po polsku, czynił to jedynie wtedy, gdy podoficer wyszedł lub usnął.

Zdawało się, że wieczorem będziemy na miejscu, tymczasem stanęliśmy dopiero w środę o godzinie 7-iej rano w mieście Celle, w dawnym królestwie Hanowerskiem, które Bismark przyłączył do Prus zdetronizowawszy króla spokrewnionego z domem panującym angielskim.

W środku miasta znajduje się zamek tej samej nazwy (Celle-Schlos) będący rezydencją hannowerskich monarchów. Jest to wielki czworobok gmachów trzypiętrowych w których mieszczą się obecnie aresztowani i więźci do niewoli polacy i Rosjanie, jak również jeńcy Francuscy i Angielscy.

Przeważają tu Francuscy księża, których jest kilkadziesiąt. Ponieważ we Francji stan duchowny nie zwalniał od służby wojskowej, przeto kapłani służyli przeważnie w oddziałach czerwonego krzyża, w zwykłych żołnierskich uniformach, mając jedynie przepaski na rękawach. Z małymi wyjątkami wszyscy z brodami i wąsami, gdyż w polu nie mogli się golić, a w niewoli już się przyzwyczaili do zarostu.

Ja z redaktorem Czajewskim pomieszczeni zostaliśmy na trzecim piętrze w dosyć obszernej sali gdzie już się mieściło 12 księży francuskich. Zapoznaliśmy się prędko i stosunki ułożyły się możliwie.

W jednej z mniejszych cel urządzonych było kilka ołtarzy, prowizorycznych, skromnych, gdzie odprawiały się nabożeństwa. Poszedłem na pierwszą mszę w dzień powszedni, wszyscy księża byli obecni, lecz nie wielu było w sutannach, większość w mundurach francuskich żołnierzy. Msza była śpiewaną, zamiast organów większość obecnych księży śpiewała chórem. Na ogół zauważyłem, że wszyscy księża gorliwie wypełniali praktyki religijne. Przed udaniem się na spoczynek, jeden ze starszych odmawiał litanję do Matki Boskiej, pozostali głośno odpowiadali.

Między jeńcami znajduje się tutaj i gubernator warszawski, baron Korf, wzięty do niewoli pod Kutnem dokąd jechał samochodem wraz ze sztab-oficerem do spraw szczególnych i szoferem; mieli we trzech jeden nieduży pokój na parterze. Baron Korf, dowiedziawszy się, że jestem z Łowicza, zaczął mnie na spacerze, i pytał o wiadomości z Łowicza i Warszawy, jak również co mówią o nim. Opowiedziałem mu, że krążyły wersje, że pan baron wiozł ze sobą podobno dwieście tysięcy rubli i że dobrowolnie oddał się Niemcom. — „Najwierutniejsza plotka—odrzekł. Jadąc przez Łowicz do Kutna w sprawach służbowych miałem zapewnienie naczelnika powiatu Budziłowicza, że droga jest wolna, tymczasem niedaleko pod Kutnem ujrzelśmy oddział kawalerzystów, narazie sądziliśmy, że to nasi—lecz gdyśmy poznali że to Niemcy—zawróciliśmy i jakkolwiek usłyszeliśmy za sobą strzały—bylibyśmy zdążyli uciec gdyby nie utknięcie samochodu nad przydrożną topolą, zanim szofer zdążył nakierować, już nas otoczono i zabrano. Kilka jednak kul utkwilo w samochodzie—mimo to wyszliśmy bez szwanku. A co do pieniędzy, to gdy przyjechaliśmy do Celle, miałem ośm rubli wszystkiego, dopiero mi w ciągu miesiąca żona przysłała z Petersburga nieco pieniędzy.

Chodził zwykle po cywilnemu, w sportowym ubraniu i w pończochach, przyjaźniac się najbardziej z kapitanem Armstongiem, adjutantem księcia albańskiego Wieda, którego dzieci ów adjutant odwoził do matki, do Berlina. Dzieci Niemcy odesłali do matki, zaś adjutanta jako angielskiego poddanego internowali w Celle.

P. Armstong nosił się po albańsku, ubrany w krótki kaftan i pantalony koloru lapis, szamerowane na sposób węgierski, na to nakładał dolman tegoż koloru również czarno szamerowany i epolety ze złotych plecionych sznurów, na nogach cholewki na sposób niemiecki.

Spotkałem tu także redaktora „Dziennika Kujawskiego” z Włocławka p. Ambroziewicza, bardzo inteligentnego i sympatycznego człowieka, z którym nie jedną miłą spędziliśmy chwilę.

O ile ja byłem niezadowolony z przeniesienia, gdyż tutaj nietylko, że nie płacono żadnej pensji, ale dawano tak niewystarczające pożywienie, że każdy musiał codziennie coś dokupować, to dla jeńców, którzy z innych obozów tu przybyli, zamek Celle był prawdziwym rajem wobec baraków drewnianych, w błocie lub na piaskach, otoczonych drutem kolczastym i ciągnących się na kilometry całe, jak w niektórych obozach bywało,—gdzie znajdowało się nieraz po kilkanaście tysięcy żołnierzy, robotników i ludzi nieokreślonych zajęć.

Wszystkich jeńców w Celle było około trzystu—którzy się często zmieniali, gdyż co jednych uwolniono, lub za karę przeniesiono do innego obozu, przybywali na to miejsce drudzy, lecz takiej mieszanki narodów zgromadzonych na małym terytorjum—trudno sobie wyobrazić. Polacy, francuzi, anglicy, belgijczycy, rosjanie, Niemcy, Łotysze, Żydzi, Litwini, później Włosi i Rumuni, jeden Japończyk i jeden Hindus, prof. uniwersytetu w Bombaju, którego wojna zastała w Berlinie i tu go internowano. Profesor hinduski cieszył się tu dużym poważaniem i on jeden tylko miał prawo chodzić po całym zamkowym parku i nawet za ogrodzeniem siatkowym, gdzie zbierał okazy tutejszej flory i zasuszał je. Dla ścisłości dodam, że ów uczonec był niskiego wzrostu, młody, dosyć szczupły, bardzo śniady i nadzwyczaj sympatyczny i łagodny, z małemi wąsikami, brunet i czarnemi, ognistemi oczyma, zupełnie niepodobny do tych maharadzów indyjskich, których nam w kinematografach pokazują.

Trudno sobie wyobrazić jaki przy tak różnorodnym towarzystwie panował tu gwar w czasie śniadań i obiadów. Najbardziej jednak głośni byli francuzi ze swoją żywą i szybką mową, a gdy jeszcze razem poczęli mówić, przypominali szczebiot trznadli po wschodzie słońca. Poważni i milczący byli anglicy, ważyli słowa które wypowiedzieć

mieli, jak gdyby za każde z nich conajmniej funt szterlingów płacić musieli.

W obszernym dziedzińcu w zamku wolno było cały dzień przebywać. Anglicy urządzili boisko, zawiesili siatkę i po całych dniach grali w lawn-tennis, galerja się przyglądała stojąc lub siedząc na leżakach, które każdy ze sobą znosił z góry.

Na zewnątrz zamku wolno było wychodzić co pół godziny dwunastu osobom, więc w bramie głównej zawsze stał ogonek 12-tu, po wyjściu jednego ogonka gromadził się drugi. Jeżeli kto chciał spacerować dłużej, musiał czekać jedną zmianę i o ile nie było kandydatów, mógł dalej spacerować.

Chodziło się dookoła zamku na wałach, odgradzonych siatką od parku. Widok był ładny na park i miasto. Dookoła zamek był otoczony wodą nie głęboką, słabo płynącą odnogą rzeki Aller, za wodą biegła aleja, po której spacerowali mieszkańcy Celle i ustawicznie przyglądali się jeńcom. Myśmy też byli ciekawi poznać życie tamtejsze i gapiliśmy się na przechodniów, którzy nas swoim dzieciom palcami pokazywali, jako wrogów ojczyzny niemieckiej.

Z rana o godzinie 9-ej i po południu o 5-ej był apel, cała izba musiała wyjść na korytarz przed swoją salę i ustawić się w szereg, komendant obchodził korytarze z listy sprawdzając jeńców i wycytując ich nazwiska, na co każdy obecny odpowiadał „Hier"! Francuzi wszyscy się uparli i nie chcieli odpowiadać po niemiecku, odpowiadali „présent" co Niemców irytowało. Po apelu wszyscy udawali się na dół do sali jadalnej na śniadanie. Była to ogromna sala zajmująca całe prawie skrzydło na parterze, gdzie kilkaset osób mogło się pomieścić. Sala ta i za czasów królestwa służyła na ten sam cel. Wysoka, z oknami wychodzącymi na park, wspaniały sufit z wypukłorzeźbami gipsowymi i artystyczną sztukaturą, na dole wykładana dębem, w niszach okien były kanapki, przez środek zaś jeden olbrzymi stół i krzesła dokoła, lecz już zwykle, wiedeńskie.

Stół nakrywano białymi obrusami i belgijscy bursze roznosili w miseczkach zupę i potrawy na talerzach, zaś przy śniadaniu każdy podchodził do kotła przyniesionego

z miasta, i bursz mu nalewał do kubeczka, który każdy jeńiec musiał mieć ze sobą, cukier i chleb przynosiliśmy swoje. Wielu nie chciało jadać przy ogólnym stole, zabierali więc herbatę czy kawę do siebie na górę, o ile nie widział dyżurny leutenant. Ja też wolałem zanościć kawę na górę—lecz raz opiekun przydybał mnie na korytarzu i otworzywszy drzwi jak krzyknął „bitte”! wskazując ręką na salę—to wszyscy myśleli że się zamek wali. Więc później już nie starałem się obchodzić prawa i śniadałem na dole. Sadowiliśmy się zwykle grupami narodowościowymi, aby było weselej. Był jeden jeszcze w końcu sali stół poprzeczny—zajmowały go przeważnie osoby będące na własnym wikcie, jak pewien pułkownik angielski, bankier belgijski, oraz burmistrz Bruxelli, który nie chciał Niemcom zapłacić kontrybucji i za to był więziony, i wielu innych. Jak bardzo Niemcy nienawidzili Belgijczyków dowodzi fakt, że dyrektora konserwatorium z Brukselli, ślicznie grającego na wiolonczeli, przeznaczili do obsługiwaniania jeńców przy stole, inni znów palili w piecach i myli schody, oraz podłogi, i zamiatali dziedzińiec, gdyby zaś nie chcieli, byłiby za karę odesłani do żołnierskiego obozu—radzi nie radzi musieli się zgodzić, gdyż i tak mniej pracowali niż w obozie żołnierskim; wszyscyśmy zaś ich jeszcze bardziej zato szanowali.

W południowym skrzydle zamku mieściły się cesarskie pokoje i tam nikogo nie wpuszczano, na dole zaś była kaplica, obecnie ewangelicka, dawniej za króla hannowerskiego była katolicką. Jeńcy zajmowali skrzydła północne i wschodnie, całe skrzydło zachodnie było nie zamieszkałe, gdyż groziło zawaleniem się. Sufity przez całą długość były rozstąpione na $\frac{1}{2}$ stopy, że widać było wyższe kondygnacje, gmach zaś zewsząd był popodpierany wielkimi masztowymi belkami.

14 marca w niedzielę o godzinie 10 rano odbyła się msza odprawiona przez jednego z księży francuskich. Kaplica jakkolwiek dosyć obszerna, szczelnie była zapelniona, gdyż oprócz kilkudziesięciu księży francuskich jest tu przeszło trzydziestu Polaków i wszyscy z małymi wyjątkami zawsze w niedzielę bywali na mszy.

Tegoż dnia po apelu o godzinie 5-ej w sali stołowej odbył się koncert amatorski: kwartet smyczkowy, wio-

lonczela i fortepian na 4 ręce, następnie popisywali się śpiewem bas, baryton, i tenor. Frenetyczne wywołał oklaski patriotyczny śpiew jednego z niewolników francuskich—przypominał nieco Marsyljanę. Pierwszy raz w niewoli słyszałem muzykę koncertową i gdy przymknąłem oczy—zdawało mi się że jestem w teatrze w kraju otoczony dokoła znajomymi osobami—wyrwały mnie z zadumy pomieszane cudzoziemskie narzecza—i oprzytomniałem.

29 marca 1915 r.

Na trawie gdzieniegdzie barwią się przylaszczki białe, żółte i fioletowe, natomiast fiołków nigdzie dostrzec nie mogłem. W palmową niedzielę odbyło się tu nabożeństwo uroczystsze niż zazwyczaj. Palmy z „kotkami” tak popularne u nas zastępowały gałązki tui, zerwane w ogrodzie zamkowym.

Święta wielkanocne wszyscy spędziliśmy niezbyt wesoło, gdyż każdy był myślą w rodzinnym kraju. Żeby mieć choć złudzenie świąt, złożyliśmy się i kupili trochę szynki, kilka jaj, kawałek cielęciny i podzieliliśmy się z 12 towarzyszami polakami, z którymi bliżej żyliśmy.

Cena produktów jest tu dość wysoka. Szynki gotowanej funt 2 marki 20 fenigów, jajko 15 fenigów, 1 funt cielęciny gotowanej 2 marki, 1 funt masła 1 marka 75 fen.

Nabożeństwo w wielką niedzielę urządzone było w dużej sali jadalnej. Ołtarz prowizoryczny pięknie przybrano żywymi kwiatami, na które złożyli się Polacy z inicjatywy redaktora Ambroziewicza, za co też na nieszpochach księży francuscy publicznie mu podziękowali.

Mszę uroczystą odprawiało trzech księży, pozostali zaś tworzyli chóry. Efektownie wyszło śpiewanie Kanonu na 3 głosy przez najlepszych księży śpiewaków (bas, tenor i baryton). Chórowi dopomogły skrzypce i wiolonczela.

Rosyjska kolonja urządziła dla siebie wystawniejsze przyjęcie, gdyż wielu między niemi było ludzi zamożnych, a nawet milionerów.

Do zamożnych należał także petersburski adwokat Markozow, członek dumy i petersburskiego zarządu miejskiego, i prezes czerwonego Krzyża; z rosjanami trzymał także bankier belgijski Goldschmidt, zięć kijowskiego miliardera Brockiego i Scheibler młody, i inni—którzy wierzyli, że gwiazda Rosji nie zgaśnie. Bardzo często przy-

chodziły dla Rosjan przez Szwajcarię lub Danję transporty bielizny, ciepłych spodnich ubrań, cukru, papierosów, biszkoptów, z polecenia wielkiej księżny Tatjany, a że nas uważali jeszcze za poddanych rosyjskich, więc i nas czasami obdzielano.

Urządzono też w pierwsze święto wielkanocne bezpłatny koncert amatorski, na który jak zwykle złożyły się skrzypce, wiolonczela, oraz deklamacje i komiczne francuskie piosenki.

Pomimo świąt, snuliśmy się z kąta w kąt jak cienie i co chwila to jednego, to drugiego można znaleźć przy oknie zapatrzonego w szybujące obłoki, jakby z nich chciał wyczytać co się tam dzieje w ojczyźnie, gdyż dotąd ani jeden list z kraju do żadnego nie przyszedł.

15 kwietnia 1915 r.

Coraz więcej zaczyna przybywać do zamku jeńców, przeważnie studentów kształcących się w niemieckich uczelniach, a których wojna tu zaskoczyła. W dniu dzisiejszym jeden z księży francuskich otrzymał wiadomość o równoczesnej śmierci obojga rodziców. Odbyło się też w kaplicy solenne nabożeństwo żałobne, na które zgromadziła się i nasza polska grupa.

26 kwietnia po chłodnych i dżdżystych dniach nastąpił ciepły dzień wiosenny. Drzewa dookoła zamku rozwijają się powoli. Zakwitły już pierwsze kwiatki. Kosów szczygłów i szpaków wielkie mnóstwo. Od rana do wieczora rozlega się wielki gwizd i śpiew, jakby w jakim zoologicznym ogrodzie. Na drzewach porozmieszczane są gniazda gliniane i drewniane. Już to Niemcom przyznać trzeba, że opiekują się ptactwem i nie pozwalają robić im krzywdy.

Gdy wychodzimy na zwykły półgodzinny spacer na wały dookoła zamku, spotykamy wszystko ptactwo skaczące i biegające po alei i nie ustępujące nam z drogi, ostrożnie omijaliśmy je by im się odwdziżyć za zaufanie. Raz tylko dojrzałem obywatela z Włocławka, pana M., który na widok spacerującego szpaka nie wytrzymał, podbiegł do niego i spłoszył go klaskaniem, za co obecni surowo go zgromili; ten to się i w Prusach niczego nie nauczy.

Pożywienie wskutek cięższych widocznie sytuacji politycznych zaczyna być coraz gorsze. Codziennie do plasterka mięsa z kilku listkami kapusty, lub krajankami marchwi, dostajemy po kilka kartofli w mundurach przemarzniętych i rzadkich, w smaku nieprzyjemnych. Chleba jest coraz mniej i kupić nie można. Sprzedają tylko po 20 fenigów bułeczki z mąki ryżowej, wielkości naszych dawnych bułek „montowych”.

Bogatsi kupują sobie dla uzupełnienia obiadów i śniadań ciastka i różne konserwy, lecz ci co nie posiadają środków—przymierają głodem, chociaż utworzyliśmy komitet pomocy i każdy zadeklarował miesięczną składkę wedle swej możliwości dla tych co z nikąd nie mogli nic otrzymać. Księża francuscy otrzymywali często pocztą przez Szwajcarię przesyłki zawierające bułki i chleb pszenny, lecz przychodził często spleśniały lub tak suchy, że trzeba go rozbijać w móżdżiezu lub moczyć.

Niektórzy jeńcy posiadając aparaty fotograficzne robili amatorskie zdjęcia pojedynczych osób i grup, między innymi zdjęto grupę polską, oraz grupę poddanych rosyjskich z baronem Korfem na czele.

Od dnia 3 maja zmniejszono nam pożywienie a raczej poczęto wydawać racje żołnierskie. Każdy z nas otrzymuje dziennie 300 gramów chleba razowego, rano szklankę czarnej kawy bez cukru, na obiad porcję gęstej zupy (grochówka, zupa kartoflana, lub kapuśniak) wieczorem szklankę czystej herbaty. Otrzymany chleb służąc do śniadania, obiadu i kolacji—nie wystarczał.

W dniu 10 maja otrzymałem pierwszy list z Warszawy od p. Tatarzyńskiego, który opuścił Łowicz z rodziną w najkrytyczniejszym czwartym tygodniu bombardowania. Był on ostatnim, który wytrzymał na stanowisku. Otrzymanie wiadomości po pięciu miesiącach absolutnego milczenia, od człowieka który przeżywał wraz ze mną te krwawe dni w Łowiczu, i pomimo co chwila pękających granatów odwiedzał mnie często, sprawiło mi dużą przyjemność. List ten otrzeźwił mnie i wyrwał z beznadziejnej apatii, list ten przypomniał mi ojczyznę i chociaż tyśiąć kilometrów dzieli mnie od niego, jednak jakże bym ochotnie biegł pieszo by powitać znane mi wioski, pola i ludzi, gdyby nie straszna rzeczywistość w postaci warty u bram zamkowych.

13 maja.

W dniu święta dzisiejszego udałem się na nieszpory do naszej kaplicy, lecz wszystko tu obce. Całe nabożeństwo, śpiewy, nauka, wszystko w obcym języku. Jak mile by zabrzmiały w uszach choćby nasze zwykłe godziniki: „Zacznijcie wargi nasze”...

Cały dzień pada drobny deszczyk. Drzewa w ogrodzie zamkowym rozwinęły się pięknie za wyjątkiem akacji i dębu, które dopiero zaczynają puszczać listki. Wspaniale rozwinęły się dwa potężne krwawe buki. Jeden na wale zamkowym drugi u stóp wału nad wodą. Zdaleka liście są prawie czarne, gdy promienie słońca złączą przedzierać się przez nie—robią wrażenie wielkiego krwawego bukietu. Ale też wspaniałe są to okazy, ledwo we trzech mogliśmy je objąć, korona zaś tak gęsta i rozłożysta, że śmiało w niej można było urządzić namiot na kilkadziesiąt osób i wygodnie tam mieszkać. Przed główną bramą zamkową rosą wspaniałe dwa klomby cedrów, drzewa piękne, zielone. Od czasu do czasu, o ile warta nie widzi, podnoszę szyszki cedrowe, w których są dojrzałe orzeszki z lekkim zapachem terpentyny. Nikt nie pomyślał nawet o tem, czasem jeńcy rzucali na siebie szyszkami, dopiero gdy im zwróciłem uwagę, czynili jak owa małpa w bajce Jachowicza „bierze w łapy, rozłupywa—słodki owoc wydobywa” i już odtąd jeden przez drugiego zbierali szyszki cedrowe.

Są tu także piękne okazy kasztanów jadalnych, tak zwanych mniejszych, dosyć pospolitych w południowych Niemczech, lecz tutaj owoce ich, jakkolwiek w obfitości znajdują się na drzewach, nie dojrzewają i opadają jesienią z próżnemi i miękkimi kasztanami. Gdzieś niedaleko od strony południowej znajduje się ukształtowane jadro.

Powłoka jest tak kolczasta, że niepodobna upadłego kasztana wziąć do ręki, kolce są długie na kilka centymetrów i tak cienkie i ostre, że kłują przy największej ostrożności. Drzewo to ładnie wygląda gdy kwitnie. Zanim jeszcze liście się rozwiną wypuszcza tak wielką ilość kiści kwiatowych długich na kilkanaście centymetrów koloru ciemno brązowego, że wygląda bardzo oryginalnie, po kilku dniach „bażki” opadają i zaściełają grubą warstwą ziemię dokoła, czyniąc wrażenie jakiegoś zbiorowiska dżdżownic lub małych węzów.

Spotkałem tu także piękny okaz drzewa tulipanowego, podobnego z wyglądu do naszej topoli nadwiślańskiej, tylko liście zamiast sercowego zakończenia posiadają dwa wycięcia, Drzewo to pięknie wygląda oblepione dużymi żółtymi kwiatami na tle ciemno-zielonych grubych liści. Drzewo nie musi być bardzo mocne, gdyż pewnego dnia niezbyt silny wiatr odłamał jedną wielką odnogę.

Deszcz nie pozwala spacerować, więc przechadzamy się po obszernych kamiennych zamkowych krużgankach i przysłuchujemy się czy nie dojdzie nas szcęk żelaznych zbroic i ostróg dawnych rycerzy goszczących na zamku królów hanowerskich. Kamienne posadzki odbijały tylko echa naszych własnych kroków.

Po przejściu trzech dni krytycznych—naszych tradycyjnych zimnych świąt—Pankrasia, Serwasia i Bonifasia—w których to dniach tutaj zamiast mrozu pannały zimne deszcze i wiatry, zapanowała pogoda sucha i gorąca. Deszcz byłby tu istotnym dobrodziejstwem.

26 maja 1915 r.

Stale panujące upały zaczynają się przykrzyć, chociaż nie tak dawno jeszcze skupialiśmy się na dziedzińcu w miejscach gdzie dochodziły promienie słońca.

Anglicy i francuzi uprawiają różne sporty, gonienie się, trenowanie w chodzeniu, np. jeden z angielskich pułkowników odbywał podróż naokoło świata, robiąc dziennie po 30 kilometrów podług zegarka naokoło zamku, biada temu kto mu wlaź w drogę lub prosił o ogień do fajki, zwymyślał go od ostatnich, rozumie się, po angielsku. Notował skrzętnie na mapie miejscowości, które przechodził, w chwili gdy to piszę—wchodził do Konstantynopola—ten nie odczuwał bardzo niewoli. Inni grali w kręgle, krokieta, tenisa, rosjanie przeważnie grali w karty, lub leżeli na leżakach opalając się w słońcu, naśladowając włoskich lazaronów.

Że nikt tu poważnie pracować nie może trudno się nawet dziwić, wszyscy jesteśmy zdenerwowani i sztucznie się podniecamy, wlewając w siebie otuchę, że niewola niedługo się skończy. Codziennie oczekujemy z niecierpliwością gazet, które rozumie się mamy tylko w jednostronnym oświetleniu z niemieckich źródeł, lecz nauczyliśmy się czytać między wierszami.

Z pism polskich otrzymujemy tylko „Kurjer Berliński” i „Dziennik Poznański”. Wystąpienie Włoch zrobiło nam nadzieję, że może pręcej wojna się skończy, lecz dni mijają bez zmiany.

Jednej rzeczy nie mogłem zrozumieć: wszyscy z małymi wyjątkami ewangelicy polacy internowani w Niemczech, byli oburzeni na Włochów, że przystąpili do ententy. My zaś byliśmy zadowoleni.

Znajdujący się w zamku artyści-malarze, rysownicy i amatorzy urządzili w jednym z próżnych pokoiów wy-

stawę artystyczną prac swoich wykonanych w niewoli. Artysta malarz Hörner wykonał 2 widoki morskie i nimfy leśne, obok zaś w źródle przeglądający się satyr, oraz portret pełnomocnika czerwonego krzyża Markozowa i żony jego, lecz z fotografii, portret księdza francuskiego, pułkownika kozackiego Gołubienki, Portret dziewczynki i Chrystusa u wrót piekieł (obraz nastrojowy).

Generał angielski Bradle—trzy sceny z polowania,—piękne akwarele w słońcu. Souchon, francuz—Widok miasta i wewnątrz więzienia. Znany rosyjski rzeźbiarz Samonow, wystawił szkice i typy miejscowe, z pomiędzy których artystycznie są wykończone akwarele: żołnierz francuski, portret księdza francuskiego oraz partja szachów (z natury). Hrabia Lerchov—Szkice i sylwetki.

Student Lubiński, nasz rodak z Sannik, wystawił żołnierza pruskiego na warcie, dwóch rosjan prowadzonych do niewoli i celę więzienną, oraz nadzwyczaj komiczne i podobne karykatury różnych osób z zamku, między którymi wyróżniały się: żyd Aron Warszawiak z Aleksandrowa, inżynier Lichowski, żyd Redman i rzeźbiarz Samonow, a także przedstawił cały zeszyt nadzwyczaj charakterystycznych szkiców z niewoli z prawdziwym talentem pochwyconych.

P. Thomson—dwa portrety i naczynia szklane (węglem). P. Waeles—pejzaż tyrolski. Widok z palarni w zamku, nad brzegiem kanału (fantazja) i wieś flamandzka (stylizowane). P. Cabillon—pejzaże węglowe, oraz widok zamku Celle, dziedzińiec zamkowy i miasto Celle, (gwaszem).

B. Mittelman, portrety pastelowe: pana Mott, p. Lichnowskiego, p. Bordulina, studenta polaka i polaka głuchoniemego, włościanina podejrzanego o szpiegostwo, oraz trzy widoki, wszystko artystycznie wykonane pastelami. Markiz Pouilly—portrety pastelowe p. de Franken (boera), br. de Kerhove i p. Jenij'a rosjanina.

Silne robiła wrażenie męska postać fantazyjna w tonie impresjonistycznym artysty p. Hörnera (olejne).

Książę Tumanow (architekt)—3 akwarele i piękny profil fasady willi, kreślone w słońcu, wraz z technicznym projektem tejże.

P. Lewant przedstawił pastel „Siedzący turek”.

Podając szczegółły prac, miałem jedynie na celu wykazanie jak pracują i czem się zajmują jeńcy, chociaż na ogół wszyscy jednołśnie przyznali, że pracować nie mogą—przygniata ich beznadziejność położenia.

28 maja.

W dniu tym kolonja polska postanowiła urządzić majowe nabożeństwo o charakterze polskim. Nabożeństwo majowe odprawiane przez księży francuskich niepodobne jest do naszego, w którym wszyscy wierni biorą udział. Tutaj jeden z księży odmawia różaniec, pozostali chórem odpowiadają—następnie krótkie przemówienie i nabożeństwo się kończy.

U nas bywa śpiewana przez wszystkich litanja do N. M. Panny, następnie „pod Twoją obronę“, poczem obecni śpiewają piękne popularne pieśni, „Serdeczna Matko“, „Zdrowaś Marja“, i inne oraz pieśni przy wystawieniu Najśw. Sakramentu. To zespolenie się wszystkich w skardze i modlitwie do Królowej Niebios, dziwny nada je urok temu nabożeństwu.

Z inicjatywy p. Ambroziewicza i przy pomocy studenta Ciechomskiego, postanowiono urządzić w kaplicy na jednej z bocznych ścian ołtarz na podobieństwo tych, jakie urządzają się u nas po kaplicach i dworach.

Znalazł się u kogoś mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, lecz od czegoż głowa? Drugi student p. Świerzyński z Łodzi, duże tekturowe pudełko wgłębił przez przecięcie na krzyż na ukos, oblókł czerwoną tkaniną i w środku umieścił obrazek, od którego szły do brzegów promienie zrobione z białego płótna. U góry na czerwonym tle, wśród promieni, p. Lubiński pięknie wyrysował Kazimierzowskiego orła. Całość przedstawiała się efektownie. Wiszącą na ścianie u góry draperję ubrano kwitnącemi gałązkami różowego głogu i bzu, ścianę przybrano wiązkami lilji, antepedjum również przybrano w kwiaty, i ołtarz cały przypominał nam ojczyznę.

Pragnąc zaznajomić francuskich księży z kultem, jaki nasz naród żywi do Najświętszej Panny, a szczególnie do Częstochowskiej, skreślono historję obrazu i koleje ja-

kie przechodził aż do ostatnich czasów; nie pominięto i epizodu gdy francuzi w roku 1812 zrabowali część wotów i kosztowności na Jasnej Górze.

Opisano jak corocznie niezliczone tłumy ze wszystkich dzielnic Polski niosą hołdy do stóp swej Ukochanej Matki. Bo też niebywały nigdzie jest widok setek tysięcy spieszących z Królestwa, ks. Poznańskiego, z Litwy, Rusi, z Kurpiowskich puszczy, ze szczytów Tatr i Karpat, nawet z chłodnych tajg syberyjskich. Każdy polak uważa za swój obowiązek choć raz w życiu, padłszy na twarz przed Bogarodzicą, wykrzyknąć z głębi zboląłego serca: „Królowo Korony Polskiej—módl się za nami!”

Powyższe objaśnienie przetłumaczone na język francuski, odczytał jeden z księży francuzów w przepelnionej po brzegi kaplicy. Po skończonej przemowie, nasza gromadka odśpiewała hymn „Boże coś Polskę!”

Francuzi z zajęciem słuchali tej z serca płynącej modlitwy garstki ludzi zagnanych losem w obcy kraj. I z tych przedwiecznych zimnych murów zamku Celle płynęła rzewna pieśń niewolników: „Ojczyznę wolność racz nam wrócić Panie!”

I każdy był myślą w tej ojczyźnie. I każdy widział oczyma duszy te spalone wioski, zburzone świątynie, leżące w gruzach miasta, z pośród których wylaniają się od czasu do czasu wylęknione postacie, szukające beznadziejnie chleba dla głodnych dzieci.

Po skończonym nabożeństwie Francuzi z zajęciem przyglądali się obrazkowi Matki Częstochowskiej i dziękowali inicjatorom za to Polskie Majowe Nabożeństwo. Pytali się co znaczy ten symboliczny ptak ponad obrazem. Wyjaśniono im, że jest to „herb”, godło Polskiego Narodu.

„Ptak” ten wiódł rycerstwo nasze na pola chwały. Powiewał na sztandarach pod Grünwaldem i Tanenbergiem, pod murami Wiednia i u Złotych Bram Kijowa.

W imię tego „Ptaka” i dla Niego szliśmy pod mury Moskwy, Rzymu, Madrytu i niezdobyte forsowaliśmy wąwozy.

Pozostań tu, Ty biały ptaku w tych murach i daj świadectwo, że synowie Polski czczą Cię zawsze i jak przed wiekami tak i dzisiaj pójda wszędzie za Tobą krwią znacząc ślady po ziemi!....

15 czerwca 1915 r.

Minęły „Zielone świątki”, nadeszła uroczystość Bożego Ciała, ale nabożeństwo odbyło się jak zwykle bez procesji, gdyż w kapliczce nie było miejsca na ołtarze. Przywieziono znowu trzech księży, lecz tym razem z Polski, z Suwalskiej gubernji. Księża mają tu o tyle wygodniej, że otrzymują od katolickiej parafji w Celle wynagrodzenie po 1 marce za odprawiane msze na różne intencje.

Wiadomości z kraju mamy coraz skąpsze. Listy zarówno z jednej jak i drugiej strony są cenzurowane i jedynie sprawy i interesy osobiste opisać można. Dziś, 24 czerwca pół roku minęło od mego przymusowego pobytu w Niemczech. O Łowiczu otrzymuję jedynie wiadomości z pism niemieckich, o wystawieniu na Rynku pomnika, o pobycie cesarza Wilhelma w Arkadji, lecz co się dzieje z mieszkańcami, jak żyją i czy mają się czem karmić—niema żadnej wieści. W dniu dzisiejszym od wieków odbywa się tam jarmark S-to-Jański, Ciekawe, czy też dostawiono konie i czy jarmark się odbył.

Drugi miesiąc się kończy, jak nie mieliśmy tu w Celle ani kropli deszczu. Susza niebywała. Trawniki w ogrodach wypalone robią wrażenie stepów. Pierwszy raz w dniu dzisiejszym upadło kilka kropli deszczu, lecz nie zdołały nawet pokryć tumanów kurzu wzbijającego się w górę za każdym podmuchem wiatru. Drzewa pozwiszały swoje korony, wszystkie kwiaty w rabatach poschły. Powietrze stawało się coraz gęstsze, nieprzenikliwe, pomimo upału, słońce świeciło blado, dokoła czuć było charakterystyczny zapach torfowy, i w samej rzeczy alarmowe dzwonki zwiastowały pożar—paliły się okoliczne torfowiska, że przez kilka dni nie mogliśmy oddychać—cały bowiem horyzont był zadymiony.

Sławne są „Hajdy” hanowerskie t. j. bezbrzeżne pustynie piaszczyste jedynie jałowcami zadrzewione, nietknięte od wieków ni pługiem ni sierpem. Jałowce też są tu olbrzymie, wrzosa wielkie, w czasie pory deszczowej pięknie zielenią się i kwitną trawy i zioła, mirjady owadów uwijają się z brzękiem, pasą się tam stada owiec, lecz gospodarstw rolnych prowadzić tu nie można. W południowych stronach od Celle są także źródła naftowe lecz podobno nie zbyt obfite, w każdym razie są eksploatowane.

W dniu 21 czerwca wieczorem o godzinie 7-ej rozległy się dzwony wszystkich kościołów i poczęto wywieszać na mieście flagi. Nadzwyczajne dodatki doniosły, że Niemcy zajęli Lwów.

Mieszkańcy poczęli tłumnie zbierać się, prawdopodobnie na jakimś placu, gdyż z okna swej celi widziałem tylko gromady starszych mężczyzn, żołnierzy, niewiast i dzieci spieszące w jednym kierunku. Następnie odezwały się zdala dźwięki orkiestry i śpiew chóralny „Wacht am Rhein”. W pół godziny tłum rozszedł się do domów. Pomimo pozornej podniety wszędzie na mieście panuje przygnębiający nastrój. Przykre wrażenie wywołuje ogromna ilość kobiet w żałobie snujących się jak cienie.

Wyglądając oknem z trzeciego piętra zamku w stronę wschodu czy z ojczyzny nie doleci jakie echo, usłyszałem dźwięczny chóralny śpiew żeński, sądziłem, że to jaka kobięca manifestacja, gdy nagle z pośród zieleni i drzew wyłoniło się parami kilkadziesiąt małych dziewczątek, śpiewających w takt marsza jakąś niemiecką piosenkę. Była to widocznie wycieczka szkółki freblowskiej. Po wielkich hałaśliwych manifestacjach pruskiej buty, te małe dziecięce głosiki wносиły dziwne ukojenie, że nie wszystko w Prusach jest żelazne i bezduszne. Te zgodne dziecięce głosiki przypominały mi popisy naszej polskiej szkoły pani Bronikowskiej w Łowiczu. Śpiew chóralny w takt marsza podczas zbiorowej wycieczki lub spaceru zawsze wywołuje miłe wrażenie: śpiew podczas ruchu zwłaszcza u dziewcząt daje wrażenie pewnej tężyzny fizycznej, ożywia dziecięce twarzyczki i czyni je strokóć milszemi.

10 lipca.

Część naszych współtowarzyszy francuskich otrzymała wiadomość, że rząd francuski postarał się o ich wymianę za jeńców niemieckich. Radość zapanowała między nimi, zaroilo się w zamku, oni bowiem byli najczynniejszymi członkami koncertów i chórów amatorskich.

W kolonji polskiej powstała myśl uczczenia głównego organizatora koncertów, rektora akademji duchownej l'abbe Dutoit, jaką skromną pamiątką. Kilku studentów polaków zaprowadziło tu pracownię galanterji z drzewa, jak ramki, szkatułki, przybory na biurka i t. p. Oni też postanowili wykonać z drzewa okładki do albumu pamiątkowego. Na pierwszej stronie był wypalony oryginalny rysunek zamku z napisem; „Souvenir A. M. H. Dutoit Ses Compagnons de Captivite. 1914—15 Celle”. Na drugiej stronie okładki i wewnątrz było wypalonych około 200 oryginalnych podpisów jeńców.

W przeddzień na pożegnanie w sali jadalnej odjeżdżający urządzili ostatni pożegnalny koncert. Pod koniec jeden z inżynierów francuskich z Dąbrowy Górniczej, miał przemowę pożegnalną, poczem wręczono pamiątkę.

W rzewnych słowach l'abbe Dutoit oświadczył, że jest niegodnym takiego zaszczytu i towarzyszów swych czynił współuczestnikami ofiarowanej pamiątki. Zaznaczył dalej, że Polacy już niejednokrotnie dawali dowody swych sympatji dla francuzów i przy każdej sposobności okazali im swą życzliwość. Powróciwszy do ojczyzny—kończył mówca—modlić się będę, by ten dzielny naród ze swą kilkunastowiekową kulturą był szczęśliwy i wolny jak na to zasługuje.

Huczne oklaski wszystkich jeńców nagrodziły sympatycznego mówcę.

W tymże dniu urządzoną była w jednym z pokojów wystawa malarska, oraz wyrobów galanteryjnych wykon-

nych z drzewa przez studentów i amatorów. Wszystkie przedmioty momentalnie rozkupiono i zamówiono bardzo wiele nowych, wskutek czego studenci mieli w niewoli bardzo przyjemne i pożyteczne spędzanie czasu—bo celową pracę.

12 lipca przybył do Celle jeden z czynniejszych mieszkańców Łowicza Władysław Tarczyński, twórca muzeum łowickiego i on pierwszy dopiero przywiózł mi wieści z Łowicza, zaś z Warszawy nie było wiadomości, ponieważ była odcięta. Wojska rosyjskie i niemieckie stały naprzeciwko siebie pod Sochaczewem i nad Rawką, aż cesarz Wilhelm przyjechawszy na ten front oświadczył swe niezadowolenie, że tak długo, a nawet za długo stoją w tym miejscu.

Władysław Tarczyński i tutaj zajął się gorliwie kompletowaniem swego muzeum i gdzie mógł starał się o zdobywanie okazów. Od jednego z francuzów otrzymał mundur kapitański, kepi i inne przedmioty, zwrócił się także do barona Korfa i ten mu ofiarował epolety, mówiąc, iż „ofiaruję panu pagony ostatniego warszawskiego gubernatora”. Rosjanie wtedy już nie wątpili, że Królestwo będzie samodzielne.

W tym czasie uczyniono nam pewną ulgę — mianowicie wolno nam było spacerować dookoła zamku bez ograniczenia czasu, t. j. do godziny 7-ej wieczorem i rozszerzono nam teren spaceru aż do fosy, że mogliśmy z jednej strony dochodzić do samej wody i byliśmy odzieleni od spacerującej publiczności wodą, z drugiej bowiem strony szła także równoległe z brzegiem aleja dosyć uczęszczana; po naszej stronie było kilka ławek, kto pierwszy doszedł, siadał i przyglądał się spacerującym.

Jeden z młodych francuzów cywilnych siadając ustawnie na jednym miejscu, upatrzył sobie widocznie jakąś młodą niemkę, która o jednej godzinie tamtędy przechodziła codziennie i zaczął jej posyłać po przez wodę całusy. Z początku zaczepiona patrzyła jak na warjata, następnie przyzwyczała się, czasem się obejrzała, a niekiedy uśmiechnęła.

Pewnego razu francuz napisał list i zawiąawszy weń kamień—przerzucił przez wodę. Dziewczyna list podniosła i rozwinęła, w tym jeden z przechodniów to zauważył dał znać policji, zrobił się skandal, dziewczynę zaaresztowano, zaś niefortunnego don Juana wysłano do innego obozu—od tej pory jeńcy patrzyli na przechodzące niewiasty—jako na owoc zakazany.

Pewnego dnia ujrzelśmy na wodzie parę łabędzi. Odtąd każdy z nas miał choć ten cel w życiu, że zostawił dla łabędzi resztki jedzenia i niósł ostentacyjnie by je nakarmić. Istotnie mieliśmy dużą rozrywkę, gdyż ptaki były obłaskawione i jadały z ręki. Przychodziły także i z drugiej strony wody nieraz wystrojone panie i karmiły i pieściły łabędzia, „nie bojąc go się do ostatka, bo któżby się łabędzia bał!”

Drugą atrakcją była para kurek wodnych. Nieopodal od brzegu rosła mała kępka tataraku i rogoziny, całemi godzinami przyglądaliśmy się jak te ptaszyny wiązały i splątywały ze sobą łodygi i uwiły gniazdo na kilka cali nad poziomem wody i jak później zmieniały się kolejno wysiadując jajka. Jaka to była uciecha, gdy po pewnym czasie ukazały się na wodzie trzy małe kurki, pomimo żeśmy i im rzucali okruchy, jednak nie zdołaliśmy ich obłaskawić, na ląd nie wychodziły wcale.

Pewnego razu ujrzelśmy płynące trzy młode bez matki piszczące i szukające widocznie starej, za nimi zaś płynęły w dosyć szybkim tempie łabędzie. Tak byliśmy przejęci obawą, żeby łabędzie nie zadziobały maleństwa, żeśmy w łabędzie rzucali grudkami ziemi, aby powstrzymać ich atak, co nam się w części udało. Zabawny jednak był widok ludzi poważnych, którzy drżeli o te maleńkie wodne kurki i prałaci i opaci, pułkownicy i wszyscyśmy patyczkami, gałązkami odpędzali łabędzie; spacerujący zaś z drugiej strony Niemcy—nie wiedząc o co rzecz idzie, a widząc nasz atak na łabędzie—wygrażali nam kijami i obrzucali potokiem różnych ordynarnych wyzwisk, na które nie zwracaliśmy żadnej uwagi.

Deszcze w tym czasie często przepadywały i trawy skoszone na zboczach zamku nie mogły wyschnąć. Co je zgrabią w kopki to zaraz muszą rozrzucić—bo deszcz zmoczył. Codziennie z miasta przychodził jakiś widocznie dzierżawca tej trawy z kilkoma kobietami i cały dzień grabili i rozrzucali.

W jeden z tych niepewnych dni usiadłem sobie ze studentem Kłopotowskim na ławce nad wodą i rozmawiamy jak zwykle o polityce. Wyczuwać się dawało, że Niemcy chcieliby urządzić w Królestwie pobór rekruta i dla tego na prędcę skleili nam Generał-Gubernatorstwo Warszawskie z panem Beselerem i trzema regentami.

Mam nadzieję,—rzekłem do towarzysza—że społeczeństwo nasze nie da się wciągnąć na niemieckie plewy

i nie pójdzie jako mięso armatnie dla Prus...

— Nie bądźta głupie, nie dajta się!... usłyszeliśmy nagle poza sobą.

Zerwaliśmy się instynktowo—opodal grabiła siano jakaś kobieta, lecz na zapytanie skąd jest, jak dawno tu mieszka?—położyła tylko palec na ustach i odeszła. Długo patrzyliśmy na siebie w zdumieniu, gdyż ten głos zrobił na nas wrażenie jakby z ojczyzny, jakby z zaświata. Więc i tu są nasi rozrzuceni w pogoni za chlebem! I to proste, ludową gwarą rzucone ostrzeżenie robiło na nas wrażenie, że pochodzi od jakiejś dawnej pramatki—Wandy, lub Kingi i długo, długo brzmiało nam w uszach.

12 sierpnia 1915 r.

Miesiąc przeszedł tak prędko chociaż monotonnie, że dziwimy się temu sami. Codziennie o 9-ej po apelu i po śniadaniu schodzimy na dziedziniec gdzie wywołują listy, czy nie usłyszysz się swego nazwiska, lecz rzadko się to zdarzało. Napróżno się łudzimy, że bieg wypadków wpłynie na skrócenie niewoli, tymczasem wypadki postępują szybko lecz dla nas bez żadnej zmiany.

Pewnego dnia ukazała się na zamku flaga, oraz na wszystkich domach w mieście, zaś w kościołach zaczęto bić w dzwony. Około godziny 10-ej wieczorem z okien naszej celi dojrzelismy długie szeregi wojska z pochodniami, otoczone tłumem mieszkańców. Pochód poprzedzała orkiestra, był to „fakelzug” z okazji zajęcia Warszawy. Ten i ów smutnie pokiwał głową. Obawa czy mieszkańcy uciekli, czy też zostali, czy było bombardowanie, napępiała serca trwogą. Wiadomość, że Warszawa zajęta była bez boju, uspokoiła nas. Nadzieja, że prędzej może dostaniemy listy—zabłysła niejednemu.

Kolonja nasza powiększa się coraz bardziej. Oprócz przybyłych niedawno od strony Ostrołęki proboszcza Mieczkowskiego, wikarego Astasiewiczza i wikarego Plewińskiego z Płocka, przybyli zakładnicy, ze Słupcy z rejentem Chrempińskim na czele, oraz z Żychlina p. Karol Fabian, przewodniczący komitetu obywatelskiego. Przybył także ksiądz Żak z Włocławka, redaktor „Dziennika Powszechnego” i kierownik drukarni diecezjalnej w Włocławku i dwaj pastory Paszke i Paschke, dwaj stryjeczni bracia, jeden z Koła, drugi z pod Głowna, bardzo sympatyczni i czynni ludzie, biorący żywy udział w naszym obozowym społecznym życiu.

Powoli księża francuscy porzeczodzili do innych cel by być razem, do naszej na to miejsce posprowadzali się

sami polacy, przybył także z kresów adwokat Szyszko i odtąd już naszą izbę nazywano pokojem polskim i trzeba przyznać, że od nas szła dyrektywa do wszystkich polaków w zamku. Zaprowadziliśmy czytelną, zbiorowe lekcje, odczyty, bratnią pomoc. Dzieła wypisaliśmy z Krakowa ze składkowych funduszy, książki zaś miały być po skończeniu się naszej niewoli odesłane do której z akademickich czytelni polskich.

Od czasu do czasu na pamiątkę fotografowaliśmy się w grupie zbiorowej, gdyż często ktoś ubywał lub przybywał. Pod koniec było nas polaków przeszło 40 osób.

Na krótko przed uwolnieniem znajdowali się w zamku Celle następujący jeńcy polacy:

Wilhelm Sznajder, handlowiec z Łodzi. Tadeusz Dąbrowski, inżynier z Kijowa. Józef Wrześniewski, ziemianin z Chemerlit. Józef Bielański z Warszawy. Tadeusz Hołówko, dziennikarz z Warszawy. Wincenty Rzymowski, red. „Prawdy” z Warszawy. Józef Dutkiewicz z Jędrzejowa. Stanisław Horoch, alumn z Płocka. Czesław Lehr student z Warszawy. Filip Rozwandowicz, student z Warszawy. Mikołaj Białecki, kap. statku na Wiśle. Roman Lamprecht, przemysłowiec z Sosnowic. Waclaw Wojewódzki, inżynier z Wilna. Maksymiljan Skrudziński, technik z Łodzi. Ryszard Paszke, pastor z Koia. Józef Sasaki, student z Radomia. Antoni Czaplewski, telegrafista z Włocławka. Wiktor Ambroziewicz, redaktor z Włocławka. Wiktor Czajewski, redaktor z Łodzi. Stefan Kłopotowski, student z Lublina. Michał Iwanowski, ziemianin z Landwarowa. Aleksander Paschke, pastor z Chodcza. Stanisław Plutecki, urzędnik z Kalisza. Albin Ketter, urzędnik z Kalisza. Jan Maliszewski, kapitan statku z Pułtuska. Jan Jętkiewicz, inżynier z Łodzi. Bolesław Iwanicki, właściciel dóbr Młodzieszyn. Zygmunt Łychowski, inżynier z Podola. Karol Hetlinger, rejent z Warszawy. Adam Grabowski, dyrektor gimnazjum z Płocka. Karol Fabjan, inżynier z Żychlina. Władysław Tarczyński, dyrtow. Wzajemnego Kred. w Łowiczu. Karol Rybacki, red. z Łowicza. Jan Bogusz Szyszko, adwokat z Pińska. Szczepan Ciechomiak z Sochaczewskiego. Antoni Huk z Pińska. Jan Olszewski i Stanisław Roman z cukrowni Dobrzelin. Józef Lubiński student, znakomity karykaturzysta. F. Szajbler z Łodzi. Ks. Plewiński z Płocka. Ste-

fan Otwinowski inżynier. Ks. T. Mieczkowski, proboszcz z pod Ostrołęki. Jan Wesołowski, obywatel z Rawskiego. Ks. Żak, redaktor z Włocławka i wielu innych, których nazwiska uleciały mi z pamięci.

Rosjanie trzymali się oddzielnie w swoich izbach i nie urządali żadnych lekcji ni odczytów, niektórzy brali lekcje języka francuskiego. Raz tylko urządzili zbiorowe amatorskie przedstawienie wystawiwszy ludową komedię, i część muzykalną na bałajkach, oraz śpiewy chóralne i solowe, a po tem —wint.

15 października 1915 r.

Zaczeliliśmy uczęszczać na mszę odprawianą przez księdza Żaka. Jakkolwiek msze oiprawiane są po łacinie, niemniej nas polaków razila miękka wymowa łaciny z francuska, do której nie przywykliśmy: „Dominus vobiscium, Anius Dei, Żeziu Krist, Asperżesme Domine, adveniat renium tiujum” i t. d. wszystko to nam przypominało, że jesteśmy na obczyźnie zdala od macierzystego kraju. Dopiero po roku choć na chwilę mieliśmy złudzenie, że to jest nasza stara, polska msza, a nawet ewangelję czytana po polsku wysłuchaliśmy z niezwykłą uwagą.

Nigdy obca mowa, choćby najpiękniejsza nie wnuknie tak do duszy, jak te swojskie, proste słowa któremi nas od dzieciństwa myśleć uczono. Gdy kapłan wspólnie z nami odmówił modlitwę za braci naszych, którzy w tej wojnie zginęli, my padłszy na kolana i kornie modlitwę wznosząc do Boga, wierzyliśmy, że ten nasz polski pacierz Pan prędzej usłyszcy.

Następnie obecni zaintonowali „Serdeczna Matko” i gdyśmy śpiewali słowa „Zmiłuj się, zmiłuj, niech się nie tułamy”,—głos nam się załamał, a Tarczyński w głos się rozplakał.

W dniu 29 listopada urządziliśmy wieczór Mickiewiczowski. Odczytano okolicznościowe referaty i uraczono nas kawą z ciastkami, na festyn ten złożyliśmy się po 60 fenigów. Wypowiedziano kilka wierszyków Mickiewiczowskich i o 9-ej rozeszliśmy się do domów pokrzepieni nieco na duchu.

Produkty spożywcze coraz bardziej idą w górę i brak ich dotkliwie uczuć się daje. Odbiło się to także na naszym pożywieniu, które jest coraz marniejsze, obecnie dostajemy rano kubek czarnej kawy bez cukru, na obiad miskę zupy grochówki, czasem kartoflanej, niekiedy z

marchwi, brukwi lub soczewicy, czasem ze słodkiej kapusty, zaś w środy i niedziele w miejsce zupy kawałek mięsa z kartoflami i konfiturą z rabarbaru, czasem z makaronem. Wieczorem kubek herbaty bez cukru.

Zrobiono dla nas pewne ustępstwo, mianowicie w jednej z dolnych sal urządono kuchnię i od godziny 11-ej rozniecano ogień by każdy kto chciał mógł sobie coś wedle smaku i środków nagotować. Zabawny był widok, gdy jeńcy z garnuszkami szli do kuchni, by sobie coś uwarzyć. Rozumie się, że nie każdego stać było na to, ale przynajmniej niejeden choć raz w tygodniu sobie coś ugotował. Ja kilkakrotnie gotowałem barszcz na kielbasie i kilka razy kapustę—których tu nie dawali. Wł. Tarczyński zwykle sobie gotował ryż, zaś Anglicy przeważnie mięso, Francuzi—jarzyny. Kto pierwszy postawił na lepszym miejscu inni nie mogli usunąć, nie wypadało, chociaż jak tamten nie widział, to potrochu usuwano. I mieszałem w rondelkach i garnuszkach: pułkownik francuski z krzyżem legji honorowej, generał angielski, pułkownik rosyjski, to szambelan papieski, to rzeczywisty radca stanu rosyjski, to opat generalny, to przeor klasztoru, to który z redaktorów. A największy był wrzask jak jednocześnie z kilku naczyń zaczęło kipieć, a że wszystkie garnki stały na blasze przy sobie, więc do ryżu nakipiało barszczu, a do kompotu ze śliwek—kapuśniaku—rwetes, krzyk, ale pomimo to zjadło się ze smakiem co się uwarzyło.

13 styczeń 1916 r.

W wigilję Bożego Narodzenia nasza kolonja polska urządziła sobie składkową wieczerzę wigilijną. Zebrało się około 40 osób i łamaliśmy się tradycyjnym opłatkiem. Każdy z nas myślą przeniósł się do kraju i do tych chwil, gdy w kole rodziny, bezpieczny, spokojny spędzał święta.

Zapaliliśmy małą choinkę i choć na chwilę ludzie zapomnieli o niewoli. Odśpiewaliśmy kilka kołęd, następnie udaliśmy się na pasterkę do kaplicy. Gdyśmy powrócili do swej celi i usiedli na łózkach, dopiero w całej pełni przedstawiło nam się smutne nasze położenie i ta beznadziejna pustka duszy. Aż widząc to student Otwinowski, który zawsze miał humor, huknął na cały głos:

Czego tęsknisz za chatą, za chatą,
Gdy cię strzeże za kratą, za kratą,
Szwab.....

Mimowoli roześmieliśmy się i tak się zakończyła wigilja Bożego Narodzenia.

W wigilję Nowego Roku 1916 składaliśmy sobie życzenia, aby się skończyła nareszcie nasza niewola. Na nabożeństwie w kaplicy w tym dniu obecną była cała prasa, jak słusznie zauważył ks. Żak, że jeden redaktor odprawiał mszę, a trzech jej wysłuchało.

O ile wieczerza wigilijna dla polaków stanowi uroczystość rodzinną i jest tak sympatycznie witana, natomiast inne narodowości nie zwracają na nią uwagi i nie obchodzą jej uroczyście, zarówno anglicy, francuzi, jak i niemcy ograniczali się tylko do sutszego obiadu w pierwsze święto Bożego Narodzenia.

Od początku grudnia do połowy stycznia pogoda ciągle zmienna, deszczowa, lecz ciepła stale. W ciągu tego czasu było tylko kilka dni mroźnych, w których mróz dochodził do 5^o R. Pomimo to pączki bzu są zielone i do połowy rozwinięte.

Gdy pewnego dnia spadł dosyć obfity śnieg, petersburski rzeźbiarz Samonow ulepił ze śniegu olbrzymiego sfinksa z oczami ironicznie zwróconemi na miejsce, gdzie zwykle musztrowała się warta, gdy zdjęto fotografię ironiczny wzrok sfinksa patrzący na „wachę” jeszcze bardziej się spotęgował tak, że fotografia ta niepodobała się Niemcom i niektórym przy wyjazdowej rewizji—poodbierano.

Dano znać do komendantury zamku, że przyjadą księży z Litwy. Byliśmy bardzo ciekawi litwinów, tyle się dawniej człowiek naczytał o tym dzielnym narodzie który szedł z nami zawsze ręką w rękę. Jakże ich pięknie opisał Syrokomla—nazywając ich zawsze „bracia litwini”, a Sienkiewicz w trylogji o zaściankach litewskich cuda opisywał. Więc oczekiwaliśmy ich z ciepłym sercem, sądząc, że przyłączą się do naszej kolonji—tymczasem zawiedliśmy się srodze. Przyjechało kilku zajadłych litwinów mówiących jedynie ze sobą po litewsku, a nawet i ks. Piotrowski, który czasem trzymał się z nami, jak się dowiedział o ich przyjeździe zaraz do nich przystał—po litewsku szwargocząc i odtąd kazał się nazywać Petrykajtis. A jego to szkoda było, bo był nadzwyczaj zdolny i pracowity, w ciągu krótkiego czasu nauczył się biegle mówić i pisać po francusku i niemiecku. Podobała mu się jedna z moich powiastek p. t. „Sierotka”, powiedziałem mu żeby ją przełożył na litewski język i wydrukował gdy wróci do domu. Odrzekł, że nienadaje się, gdyż w niej zbyt pochlebnie przedstawiłem obywatela ziemskiego,—a to jest żywioł najbardziej wrogi rozwojowi litewskiego języka i narodowości.

— A czy przypuszcza pan, że ta garstka litwinów zdoła się oprzeć nie mówię nam, ale Niemcom—którzy prawie już połowę was wchłonęli. Wreszcie język wasz teraz dopiero zaczynacie wydobywać z powijaków barbaryzmu i urabiać na modłę literacką.

Nigdy już później nie wszczynałem z nim rozmowy na ten temat, gdyż wiedziałem, że jeden drugiego nie przekona a zaostrzy jedynie antagonizm.

A jak byli zawzięci litwini do wszystkiego co nasze dowodzi fakt, że żaden niechciał odprawiać nabożeństwa przed naszym ołtarzem z M. B. Częstochowską; gdy inne ołtarze były zajęte nie odprawiali mszy wcale. Tam dopiero się przekonałem jakich zawziętych mamy wrogów w tej garstce księży i nauczycieli, bo reszta ludu wiejskiego wychowana w tradycjach polskich—nie jest tak zawzięta.

Jedynymi kobietami jakie widywaliśmy zbliżka była gospodyni w kantynie, opasła niemka, która nam wydała mleko gorące i kawę na obstalunek, oraz dwie młode panny, praczki, które wózkami przywoziły nam bieliznę i roznosiły po izbach. Zawsze towarzyszyła im matka i żołnierz z karabinem. W poniedziałek każdy z nas naszykował swoją bieliznę, zawiązał w papier i dołączył karteczkę z wyszczególnieniem przedmiotów, a w sobotę przywoziły wózkami już upraną bieliznę z rachunkiem. Panny były skromne, taktowne, pokończyły gimnazjum i szanowaliśmy je za to, że niewstydzili się pracy. Przybycie ich do zamku stanowiło pewną atrakcję, a nawet i my, starsi jeńcy patrzyliśmy jak takie młode uśmiechnięte twarze zwracały się do nas o paczki, a cóż tu mówić dopiero o młodych jeńcach którzy umyślnie opóźniali przygotowanie paczek aby choć ręką do ręki się dotknąć, gdy one pomagały im pakować, aby było prędzej. Aż tu pewnego razu — na przedstawieniu amatorskiem ogłoszono, że będą przedstawiane obrazki z Celle.

Między innymi karykaturami dwaj przebrani za dziewczynki studenci jako praczki wbiegli do izby, jeńcy uganiaли się za nimi podskubując je, one też wyprawiały różne drygi uciezkie, gdy to zobaczył będący na przedstawieniu komendant, wydał rozkaz zabraniający praczkom wstępu do cel jeńców. Odtąd każdy swą paczkę składał w komendanturze i tam też odbierał bieliznę płacąc rachunek. Od tej pory już młodych twarzy kobiecych nie widzieliśmy więcej z bliska.

Gdy na początku wiosny spadł obfity śnieg, student Lubiński na środku dziedzińca ulepił olbrzymich rozmiarów leżącą Wenus. Postać była piękna i dobrze zrobiona, nazajutrz miał wykończyć drobne szczegóły i odfotografować. Przyglądaliśmy się wszyscy tej zręcznej robocie z zajęciem, młodzi wołali: mamy nareszcie w zamku niewiastę!

Jakie jednak było nazajutrz zdziwienie, gdy kilkunastu praczątków tego dzieła sztuki była do szczętu rozbita.

Cały zamek był oburzony na to barbarzyństwo i przeprowadzono śledztwo, okazało się że młody fanatyk, kleryk francuski, wstał o 2 w nocy i drażniąc zburzył figurę, która podług niego była nieprzyzwoitą bo bez ubrania. Zakotłowało się jak w garnku. Naraz rozeszła się wieść, że w niedzielę po śniadaniu Wenus będzie pomszczona.

Wszyscy niecierpliwie czekaliśmy niedzieli. Wchodzimy do sali jadalnej, aż tu na głównej ścianie na wielkim brystolu leży cała piękna Wenus, a obok rozżarty z podniesionym do góry dragiem stoi skarykaturowany—lecz podobny jak kropla wody—kleryk, nawet jedno zezowate oko miał zrobione jak w naturze, zaś u dołu po polsku i po francusku widniał napis: „Walka czarnej postaci z białą damą”.

Satysfakcja była zupełną. Księża podnieśli krzyk, i wysłali do Lubińskiego delegację w osobie opata z prośbą o zdjęcie i zniszczenie rysunku. Z początku L. się wzdragał, lecz następnie uległ ze względu na Niemców by im nie dać powodu do szykan kleru. I tak skończyła się awantura o Wenus.

Nastała wiosna, w położeniu naszym nic się nie zmieniło. Pewnego dnia dano nam znać, że przyjechała komisja z Warszawy dla sprawdzenia jeńców Polaków. Wymieniono nazwiska tych którzy mają być badani. Wywołało to pewną konsternację w naszej kolonji.

Gdy przyszła kolej na mnie, zapytał mnie przewodniczący za co byłem aresztowany. W odpowiedzi odrzekłem, iż w wydawanym przez siebie tygodniku napisałem artykuł w którym między innymi nadmienilem, że Nemezys dziejowa dzisiaj mści się na potomkach tych trzech narodów, które przyczyniły się do rozbioru Polski. Spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, poczynili notatki i bez dalszej indagacji pozwolili mi odejść. Jak się później dowiedziałem, pomieszczono mnie na liście tych którzy mają być zwolnieni.

Odtąd zaczęliśmy żyć nadzieją powrotu do domu i czyniliśmy przygotowania do podróży. Wł. Tarczyński był w dużym kłopotcie, gdyż miał całą skrzynię mundurów i ubrań francuskich, któreby mu napewno odebrano. Poradził mu p. Seyda, który czasem odwiedzał nasz obóz, aby rzeczy te wcześniej wysłał do Poznania do znanej protektorki tamtejszego muzeum którą Tarczyński poznał w Łowiczu, gdy zwiedzała jego zbiory. Plan się udał, gdyż po powrocie do Łowicza, pani ta skrzynię z Poznania odesłała.

Z chwilą bliskiego powrotu ustała wszelka praca, nie byliśmy zdolni myśli zebrać, chodziliśmy jak automaty i teraz dopiero przekonaliśmy się co to jest niewola, gdy nam błysnęła nadzieja wolności.

Zaczęliśmy likwidować swoje różne interesy i sprawy. Wymienialiśmy między sobą na pamiątkę fotografie z podpisami, zbieraliśmy podpisy w albumach, codzień wyglądając wiadomości o zwalnianiu polaków. Wyjechał Łuba z Łodzi, Pastorowie Paszke, Redaktor Czajewski, nareszcie wezwano mnie i Tarczyńskiego do komendantury i zawiadomiono, że nazajutrz mamy przedstawić swoje pakunki w komendanturze do rewizji i wieczorem wyjedziemy do kraju.

Pożegnaliśmy się ze wszystkimi, obeszlśmy ostatni raz wszystkie kąty i zaułki zamku i o godzinie 8-ej wieczorem zajechał po nasze bagaże człowiek z dwukółowym wózkiem ciągnionym także przez psa i udaliśmy się na stację Celle.

Ja z Tarczyńskim oddani byliśmy pod opiekę podoficera pruskiego, który miał obowiązek dostawić nas do komendantury w Łowiczu. Na stacji Celle długo czekaliśmy na pociąg, i około godziny drugiej w nocy wyruszyliśmy w drogę do kraju. Po kilkunastu godzinach znaleźliśmy się w Poznaniu.

Ponieważ do pociągu, który miał nas wieźć dalej było kilka godzin, przeto kazaliśmy sobie podać obiad na stacji jako wolni obywatele. Wszyscy polacy ze swymi aniołami stróżami obsiedliśmy jeden wielki stół i rozmawiamy sobie głośno. Niemcy otoczyli nas i przyglądali się dziwnym postaciom—otoczonym wartą a wesołym i rozradowanym, aż ktoś ich objaśnił, że to jeńcy powracający do ojczyzny.

W Poznaniu byłem pierwszy raz i obchodząc całą salę II klasy dookoła, nigdzie nie dostrzegłem nawet jednego napisu po polsku. Ponieważ kilku jeńców-kolegów było niemieckiej orientacji, wskazałem im salę mówiąc:

— Patrzcie panowie, wszak to Wielkopolska, rycerzów kolebka, co niemcy z niej zrobili, pokażcie mi choć jeden polski napis, a ja wam w Warszawie całe ściany pokaże polskich ogłoszeń i cyrkularzy. Przyznali mi słuszność, ale im zawsze imponowała kultura niemiecka.

Niebawem dano sygnał do odjazdu i ruszyliśmy dalej. Im bliżej granicy, czuć było, że zbliżamy się na teren wojną objęty. Mijały nas wojska, armaty, lawety, furgony, samochody wypełnione rannymi i sanitarjuszami. Gdyśmy wjechali w granice królestwa—smutny przedstawił się widok. Jak okiem zasięgnąć wszędzie widniały ślady zniszczenia. Po drodze zostawialiśmy wszędzie towarzy-

szy, dojeżdżając do Łowicza, pozostał tylko zastępca burmistrza ze Skierniewic, który miał jechać dalej.

W Łowiczu na stacji stanęliśmy o godzinie piątej rano, było jeszcze ciemno, dworzec w ruinach, czarno, smutno, brudno, Niemcy kręcili się ustawicznie, ani jednej znajomej twarzy. Ruszyliśmy pieszo z dworca Kaliskiego, gdy się nieco rozwidniło, żołnierz mnie z Tarczyńskim zaprowadził do komendantury; komendant spał jeszcze musieliśmy czekać, w międzyczasie wstąpiliśmy do Kolegaty by zmówić pacierz na intencję szczęśliwego powrotu z niewoli. Po przedstawieniu się komendantowi tenże kazał nam co miesiąc meldować się, po kilku jednak miesiącach zwolnił nas z tego obowiązku.

Pożegnawszy się z towarzyszami niedoli, udałem się do siebie i jak Emir Rzewuski „wszedłem do siedziby, bez zamka, bez szyby, gdzie rośną błyszczą obicie”.

Zastąpiłem resztki niedograbionych sprzętów a odzież, bielizna—wszystko stało się pastwą chciwości ludzkiej. Rozejrzawszy się w sytuacji—zakasałem rękawy i jałem się pracy—którą przed dwoma laty opuściłem.

Wszyscy prawie znajomi znajdowali się w Rosji, gdzieś tam spotkać było można kogoś z bliższych, a wszędzie przeważnie twarze obce. Niektórzy z mieszkańców zdążyli żyć z Niemcami, robili z nimi różne operacje, a nawet korzystne interesy; ja w tej walce i uganianiu się za zyskiem—byłem poza nawiasem.

Pewnego razu udałem się do teatru na przedstawienie. Myślałem sobie, że z przyjemnością powitam znajomych, gdyż wszyscy byli swoi i czułem się tam zawsze jak u siebie w domu. Rozejrzałem się po teatrze i zdumiałem: ani jednej znajomej twarzy! W pierwszych rzędach porozpierzani jacyś ludzie w czapkach, rozmawiający głośno, zachowujący się zbyt swobodnie. Panie jakieś inne w jedwabiach, a dające panom różne znaki, rzucające w nich cukierkami i przysiadające się do nich z hałasem.

Dwa lata zaledwie upłynęło, a takie zmiany w mieście. Więcej do teatru nie poszedłem.

Warunki życia były tu nawet gorsze jak w niewoli. Człowiek nie mógł rozmawiać głośno, gdyż wszędzie pełno kręciło się szpiegów. Młody Feder krawiec, żyd, ogolony, w długich butach, z pejczem, kręcił się po handlach, udając obywatela ziemskiego, miał nawet kapelusz z penzelkiem.

Müler, stolarz, był wszechwładnym panem, gdyż należał do tajnej policji. Panna Schrott, córka zakrystjana kościoła ewangelickiego, kazała się doktorowej Konopackiej rozbierać prawie do naga przy rewizji, gdy ta ostatnia odwiedzić chciała grób matki na cmentarzu za mostem, przez który nie puszczano.

Zabawny też z tego powodu był incydent. Ponieważ nikt z miasta nie mógł wyjść bez paszportu, ani nic wynieść, gdyż wszystko odbierała stojąca na moście warta, posterunek rewizyjny zaś był w sklepiku przed mostem, a cmentarz za mostem, każdy pogrzeb był ściśle rewidowany. Pewnego razu, jakiś gorliwy wachmistrz zatrzymał kondukt pogrzebowy przed mostem i rozpoczął rewizję. W końcu zażądał paszportu od eksportującego księdza i okazania paszportu nieboszczyka; ksiądz niespodziewając się rewizji nie miał paszportu, wachmistrz szlaban zamknął i cały kondukt zawrócił nazad do komendantury. Komendant ujrawszy przez okno oryginalny pochod wjeżdżający na dziedziniec, czemprowadzkiej kazał zawrócić i przepuścić nieboszczyka.

Pewnego razu zatrzymano na moście żebraka mieszkającego na Korabce, który powracał do domu z żebranią po mieście. Zabrano mu z torby kawał skóry od słoniny, sześć kartofli i 2 kromki chleba. Patrząc z żalnością na zabrany trud całodziennej pracy, rzekł:

— Różnych pamiętam cesarzów, i ruskiego i austriackiego, ale takiego coby dziadowi z torby zabierał—to jeszcze nie było! że mimowoli nasuwało się pytanie—ludzie to—czy szakale?

Środki życiowe były coraz gorsze, słoniny lub cukru można było kupić przez protekcję tylko i to za kartką z wydziału aprowizacji. Zarekwirowano mi czcionki w drukarni, zabierano wszystkie klamki mosiężne od drzwi, nie mówiąc o rondlach.

Z mieszkań zabierano wszystko co miało jakąkolwiek wartość. Jednemu z mieszkańców oficer pruski zabrał cenny obraz olejny i dał mu za to 2 marki, aby—jak mówił—niepowiedziano, że oficer niemiecki bierze coś darmo. Oficer niemiecki, Majewski, rozbierał po wsiach włościanom ściany i kominy, szukając ukrytego zboża. Przy cechowaniu bydła—które pozostawiono włościanom, za niedość prędkie doprowadzanie do przeglądu, żandarmi pruscy bili po twarzy starych gospodarzy włościan, serce się krajało, że ludzie to znosili z jakąś dziwną rezygnacją.

Gdy zrabowano mieszkańcom wszystkie miedziane i mosiężne naczynia—zwrócono się do świątyń. Rabowano organy, dzwony, dachy miedziane. Czyż ten okupant nie wiedział, że organy artystycznie i harmonijnie zestrojone—nie dadzą się prawidłowo zastąpić tymczasowymi piszczałkami, które długo trzeba dopasowywać i dostrajać do całości?...

A dzwony?

Dawniej gdy ofiarowywano do kościołów dzwony, ile złota i srebra dodawano do metalu by dźwięki uczynić piękniejsze. Czyż on tego nie wiedział, że całe pokolenia rodziły się i umierały przy dźwiękach tych dzwonów? Dziecko małe już potrafiło odróżnić czy to kolegiackie czy świętoduskie odzywają się dzwony. I on, który tylko chwilowo nas okupował, który nawet nas gaskał, abyśmy mu dali żołnierza na front pod Verdun, poważał się nas obrabować z tego co było dla nas najdroższe.

Pamiętam, pewnego poranku, żołnierze pruscy obstawili kościoły. Była to landwera, ludzie starsi, z brodami. Miano zdejmować dzwony. Oprawcy zaczęli wspinać się na dzwonnice. Miasto robiło wrażenie martwego. W kolegiacie wielkiego dzwonu zdjąć nie mogli bez wywalenia muru—postanowili rozbić dzwon na kawały...

Dzień cały słyszeliśmy jęki kruszonego dzwonu, coraz krótsze i coraz cichsze, aż zupełnie skonały...

Przyszła kolej na dach kolegiacki, ten dach zielony, zczerniały, który tak dostrajał się do całości tej prastarej świątyni. Należałem do delegacji, która udała się do władz pruskich prosić, by chociaż wieże oszczędzono, gdyż odrywając miedź z wież—mogą je osłabić.

Byli niewzruszeni, „befel“ wydany musi być spełniony. Pozostawili jedynie najwyższą kondygnację, do której dostać się nie mogli.

20 marzec 1917 r.

W grudniu 1916 roku władze niemieckie naznaczyły wybory do Rady Miejskiej w Łowiczu podług ordynacji Hindenburga. Stosownie do regulaminu wyborczego i wyżej wymienionej ustawy, wybory odbywały się na zasadach kurjalnych. Podzielono ludność na 3 kurje.

I kurja: przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy i handlarze. Do tej kurji gremjalnie zapisywali się żydzi w celu przeprowadzenia swoich kandydatów, co się też stało; w następnych kurjach przepadli. Liczba zapisanych wyborców do tej kurji wynosiła 1012 osób. 617 żydów i 395 chrześcijan. Wobec tego ani jeden chrześcijanin z tej kurji nie wyszedł.

II kurja: właściciele domów, inteligencja i wolne zawody; zapisanych było 166 osób: 152 chrześcijan i 14 żydów. Nie świadczy to jednak, że w owe czasy nie było żydowskich właścicieli domów, lecz ci jako przeważnie kupcy zapisali się do I kurji.

III. sfery robotnicze; zapisało się 320 osób, 216 chrześcijan i 104 żydów.

Listy sporządzone były w Magistracie, przez urzędników niemieckich i pod ich wpływem ludność podzielona była na dwie przynależności państwowe: przynależność państwowa Polska i przynależność państwowa żydowska (Jüdische) to była nowość wprowadzona przez Niemców, na co była specjalna rubryka.

Zapisy rozpoczęto dnia 4 grudnia 1916 r., trwały one 10 dni; same wybory naznaczono na 15 stycznia 1917 r.

Do przeprowadzenia wyborów wyznaczony został z urzędu przez prokuratora niemieckiego sądu okręgu Pauera, wydział wyborczy złożony z prezydum i 6 asesorów.

Prezydum stanowili: pp. Emil Balcer przewodniczący, Bronisław Łagowski i Efraim Rozenkranc, na których

ciężła odpowiedzialność za dokładne i sumienne przeprowadzenie wyborów.

Z kurji pierwszej wyszło, jak było do przewidzenia 6 żydów większością głosów, pomimo jednogłośniego głosowania ze strony chrześcijan.

Z kurji drugiej i trzeciej wyszło po 6 chrześcijan, razem 12-u, przy głosowaniu trzeciej kurji żydzi robili formalną nagankę na chrześcijan, podlegających ich wpływom i koniecznie chcieli wprowadzić do rady zwolenników, aby mieć większość. Energiczna postawa chrześcijan i przeciwnakcja przeszkodziły temu, gdy zauważyli, że swoich zamiarów nie przeprowadzą: cofnęli się i do głosowania w kurji III wcale nie przystąpili.

Dnia 14 marca 1917 roku odbyło się pierwsze inauguracyjne posiedzenie Rady Miejskiej, Burmistrzem został mianowany kapitan Lerner, drugim Burmistrzem p. Franciszek Balcer. Ławnikami z wyborów byli pp. Leon Gołębiowski, Bronisław Łagowski, Edward Nowakowski i Gabrjel Skowroński. Członkami Rady Miejskiej z wyborów zostali: pp. Franciszek Brzeski, Karol Rybacki, ks. Cichocki, Roman Kluge, M. Kisielewski, Mateusz Tatarzyński, S. Wardyński, Ludwik Lipiński, J. Kaliński, St. Masztanowicz, Pstruszeński Wiktor, J. Sosnowski, J. Wartski, Granica, J. Żelechowski, Anatol Wekstein, Rosenkrantz i J. D. Zilberberg.

Prezesem Rady został zatwierdzony p. Franciszek Brzeski, sekretarzem p. Ludwik Lipiński.

Pierwszy przemówił po niemiecku I burmistrz Lerner, następnym mówcą był dr. Lotze, kreisschef powiatu Łowicko-Sochaczewskiego. Dr. Lotze w przemówieniu swoim zaznaczył, że choć nie wszystkich zadawalnia ten samorząd, jednak jest to pierwszy krok i przy dobrych chęciach dużo tu zrobić można. Po tych dwóch przemówieniach przewodniczący Brzeski wręczył kapitanowi Lernerowi deklarację podpisaną przez wszystkich radnych, którą tenże przyjął do wiadomości. Deklaracja zawierała orzeczenie, że jakkolwiek Rada przystępuje do czynności podług ówczesnej ordynacji, lecz nie godzi się na nią i żąda aby burmistrz nie byłznaczany, lecz wybierany z łona członków Rady, jak również protestuje przeciw istnieniu jenerał-gubernatorstwa Warszawskiego, żądając przywrócenia Królestwa Polskiego z połączonych trzech zaborów.

Drugie posiedzenie Rady Miejskiej odbyło się 19 marca 1917 r. Przeczytano deklarację, wręczoną na pierwszym posiedzeniu, poczym nastąpił djalóg pomiędzy burmistrzem Lernerem i jednym z radnych:

— Co to jest zjednoczona Polska?

— Cała; ze wszystkich dzielnic. To znaczy z Krakowem.

— A może z Poznańskiem?

— Rzekłeś panie!

— A Berlinem też?

— Nie, Berlina nie chcemy.

Na 3 posiedzeniu 26 marca 1917 r. wysłano adres do tymczasowej Rady Stanu i do Rady Stołecznego miasta Warszawy.

Od 14 maja 1917 r. protokoły Rady Miejskiej zaczęto pisać tylko po polsku (poprzednio musiano pisać w 2 językach).

lipiec 1917 r.

Dnia 4 lipca 1917 r. władze niemieckie za działalność szkodliwą dla Państwa Niemieckiego zamknęły towarzystwo „Piechur”. Pozwolenie na założenie gimnastycznego Towarzystwa p. n. „Piechur” otrzymał od władz okupacyjnych ks. kanonik Niemira i p. Franciszek Balcer.

Pierwsze ogólne zebranie odbyło się 8 grudnia 1916 r. Do Zarządu wybrano: pp. Franciszka Kominka (jako kierownika) Tadeusza Wierusz-Kowalskiego (prezes), Zyg. Przybylskiego (skarbnik) Gerarda Zwolińskiego (sekretarz) i Jana Kowalskiego.

Zarząd wynajął mieszkanie w domu Ed. Szmida (przy ulicy Podrzecznej); zorganizował lekcje gimnastyki (oddzielny komplet żeński) i fechtunku.

W lutym 1917 r. p. W.-Kowalski rzekł się przewodnictwa, pozostając nadal w Zarządzie, prezesem został p. G. Zwoliński.

W tym czasie siedzibę towarzystwa przeniesiono na Mostową Nr. 3. Tu odbyło się trzecie ogólne zebranie dla wyboru zarządu. Skład tego zarządu był następujący: prezes p. Władysława Łągowska, skarbnik Antoni Herde, sekretarz Marceli Łabędzki, E. Kamenc i Jan Kowalski.

Przez cały czas istnienia „Piechura”, wrzała gorączkowa praca, w lokalu Towarzystwa odbywały się zebrania pol. Stronnictwa Ludowego, P. O. W., pomocniczych Komitetów Wojskowych, Koła Demokratycznego, wykłady o Polsce Współczesnej dla włościan, ćwiczenia fechtunkowe i gimnastyczne i zebrania towarzyskie. Aż w dniu 3 lipca 1917 r. żandarmerja niemiecka aresztowała p. Kominka, komendanta 11 obwodu i okręgu P. O. W. i instruktora „Piechura” a nazajutrz przeprowadzono rewizję w lokalu Towarzystwa (nic nie znaleziono—gdyż wszystko uprzątnięto zawczasu) i Towarzystwo zamknięto. Majątek „Piechura” t. j. szpady, maski, rękawice, drabiny i t. p.

przekazano czasowo Tow. Krajoznawczemu aż do utworzenia się tow. gimnastycznego.

Na 13 posiedzeniu Rady Miejskiej 10 lipca 1917 r. przewodniczący Fr. Brzeski zrzekł się swej godności i na jego miejsce został zatwierdzony Karol Rybacki.

Dnia 1 września 1916 r. nastąpiło w Łowiczu otwarcie Sądu Okręgowego. Prezesem był zamianowany p. Franciszek Głowacki, członkami pp. F. Bogatko, Czermiński i Rudzki, prokuratorem p. Janusz Smogorzewski, i przyznać należy, że sąd odrazu stanął względem mieszkańców na stanowisku niezależnym, zyskał zaufanie społeczeństwa widzącego teraz dopiero, co to jest sąd bezstronny—po sądach rosyjskich i niemieckich. Szkoda tylko, że Łowicz niedługo cieszył się tym sądem, który już w dniu 30 marca 1922 r. ze względów oszczędnościowych został skasowany.

Dnia 15 października miał się odbyć uroczysty obchód zgonu Kościuszki. 14 t. m. ukazały się odezwy (hektografowane), porozlepiane na murach i parkanach, następującej treści:

OBYWATELE!

W dniu jutrzejszym mamy obchodzić rocznicę zgonu Kościuszki. My, polacy w wolnej, niepodległej, darowanej nam przez cara niemieckiego Ojczyźnie. Ładnie ta wolność wygląda! Wczoraj okradziono z organów kościoła Pijarów, jutro może żoldacy okradną kolegiatę. A więc nie do pochodu stawajmy—jeno z kamieniami, z czym kto może w garści, dla obrony kościołów naszych. Precz ze złodziejstwami Niemców”.

Luty 1918 r.

14 lutego 1918 r. około 6-ej wieczorem zostały porozlepiane po murach i doręczone we wszystkich biurach polskich i instytucjach, sklepach, warsztatach odezwy następującej treści:

OBYWATELE!

„Rozwiały się kłamstwa, jakimi były słowa aktów 5 listopada i 12 września, oczom naszym ukazała się brutalna pięść *krzyżacka*, ćwiartująca ponownie ciało *Polski*...

Dłużej milczeć nie można!

Niechaj krzyk bólu i gniewu, co wzbiera w piersi synów, miłujących Ojczyznę, dobiedzie się na zewnątrz, jako zapowiedź niezłomnego trwania przy sztandarze Zjednoczonej Niezawisłej Polski, choćby za cenę krwi i ofiary. Hańba tym, którzy lękiem powodowani tłumić go będą.

Wzywamy wszystkich mieszkańców m. Łowicza i okolicy, by protestowali przeciw gwałtowi, jakim jest nowy rozbiór Polski! Dnia 15 b. m. winny stanąć wszystkie instytucje społeczne czy prywatne, biura, warsztaty, szkoły, i sklepy winny być zamknięte.

Kto nie usłucha wezwania, ten, znaczy się, dobrowolnie stanie w szeregu tych których udziałem będzie pogarda polaków.

Łowicz, 14 lutego 1918 r.

*Polskie Stronnictwo ludowe
Polska Partja Socjalistyczna
Polska Organizacja Wojskowa.*

Ludność usłuchała wezwania, prawie wszystkie instytucje nie pracowały, a sklepy były zamknięte. Nad

ranem 15 lutego wybito kamieniami szyby w urzędzie powiatowym. Za wprawienie szyb zapłacić musiał Magistrat. Na miasto nałożona została kontrybucja w wysokości 10.000 marek.

Na 23 posiedzeniu 20 grudnia 1917 r. drugi burmistrz p. Franciszek Balcer zakomunikował, że I burmistrz kapitan Lerner podał się do dymisji. Rada Miejska postanowiła wybrać pierwszego burmistrza i przedstawić go do zatwierdzenia.

Na 24 posiedzeniu 19 stycznia 1918 r. ławnik p. Leon Gołębiowski zakomunikował, że został mianowany pierwszym burmistrzem.

Na 25 posiedzeniu 5 lutego t. r. Rada wybrała na wakujące po Gołębiowskim miejsce ławnika inżyniera Tadeusza Wierusz-Kowalskiego, kierownika oddziału Ubezpieczeń.

Na 26 posiedzeniu 14 lutego 1918 r. uchwalono protest przeciw wyłączeniu Chełmszczyzny z Królestwa Polskiego na konferencji pokojowej w Brześciu.

Na 31 posiedzeniu 11 kwietnia 1918 r. na miejsce ustępującego ławnika p. G. Skowrońskiego wybrano d-ra Edmunda Burschego, pastora, którego Niemcy oddali pod sąd za wrogie jego występowanie przeciwko bezprawiu i gwałtom pruskim.

Na 36 posiedzeniu 5 września 1918 r. zatwierdzono zaciągnięcie pożyczki na kupno domu na Rynku imienia Kościuszki, dla pomieszczenia Muzeum Tarczyńskiego. W tymże czasie prezes Rady Rybackiej wraz z burmistrzem Gołębiowskim i drugim burmistrzem Balcerem Franciszkiem, skorzystawszy z okazji, iż pierwszy burmistrz nie zajmował lokalu w magistracie mieszkając w swym folwarku na Korabce—przeprowadzili projekt zwalenia szeregu ścian i urządzili piękną salę radziecką z herbem państwa i pelikanem—herbem Łowicza, z herbami wszystkich województw, oraz portretami Kościuszki, Sienkiewicza, Staszycy, Kazimierza Wielkiego i prymasa Łaskiego. Lokal ten stale zajmowali prezydenci za czasów rosyjskich i niemieckich i dopiero dzięki powyższej okoliczności można go było przerobić, gdyż w każdym innym razie żaden z burmistrzów nie zgodziłby się wyrzec pięknego bezpłatnego lokalu wraz z usługą i opałem, gdy tymcza-

sem posiedzenia Rady odbywać się musiały w ciasnym kancelaryjnym pokoiku, publiczność zaś mogła się mieścić jedynie w przedpokoju lub na schodach.

Na 38 posiedzeniu 10 listopada 1918, gdy Niemcy zaczęli się łamać, utworzono komitet bezpieczeństwa.

Na 18 posiedzeniu 25 listopada 1918 r. Rada przyjąwszy do wiadomości rezygnację Zarządu Magistratu, zobowiązała go do pełnienia obowiązków dopóki nowa ordynacja Rządu Polskiego nie będzie wydana. Następnie sama zrzekła się swych mandatów i rozwiązała się prosząc Władze o zarządzenie nowych wyborów.

Nowe wybory do Rady miejskiej odbyły się w dniu 9 marca 1919 r. pod przewodnictwem Sędziego Sądu Okręgowego p. Feliksa Bogatko. Wskutek połączenia się socjalistów z Żydami ilość radnych listy narodowej była mniejszą, mianowicie z listy P. P. S. wybrano 7 osób, z listy żydowskiej 8, z listy narodowej 9. Radzie z urzędu przewodniczył burmistrz, którym był wtedy Dr. S. Stanisławski.

20 listopada 1918 r.

Po wybuchu rewolucji w Rosji i pogromie Niemiec we Francji, rozpoczęło się w całym kraju rozbrajanie okupantów. Dzielni nasi harcerze cudów dokazywali przy odbieraniu im broni. Jaka odwaga jaśniała w młodzieńczej twarzyczce 13-letniego harcerza N., gdy krzyknął na jadącego konno pruskiego hauptmana, hr. Arnima:

— Z konia!...

I ten zszedł i konia mu oddał.

A ksiązę Hohenlohe, brat cesarzowej Augusty, dowódca kawalerji, pan życia i śmierci mieszkańców Łowicza, oddał dobrowolnie swój srebrem inkrustowany rewolwer Jurkowi Kwiatkowskiemu i prosił by go bezpiecznie odprowadzono na dworzec kaliski. Eskortowało go sześciu harcerzy z karabinami, zapewniwszy słowem harcerskim, że go całym i zdrowym odstawią do wagonu. I dotrzyмали przyrzeczenia. Dowódcą harcerzy był wówczas jeden z najdzielniejszych wychowanków szkół łowickich, p. Jan Bączkowski, obecnie porucznik 1-go pułku ułanów Krechowieckich w Augustowie.

Tak, były to dni pełne chwały.

Taborem kolejowym zaopiekowali się kolejarze i przejęli od okupantów cały inwentarz, niepozwalając wywieźć wagonów po za granice kraju. Pracowaliśmy wszyscy zgodnie bez względu na przynależności partyjne i w tem była nasza siła.

Jakże wiele zmieniło się od tego czasu.

15 grudnia 1918 r.

Przed kilku tygodniami otrzymałem od znajomego mieszkańca Łowicza, który powrócił z Rosji, p. Henryka Markowskiego, egzemplarz gazety „Russkoe Słowo”, w której korespondent, p. Willy, w tak żywej i pięknej formie opisał moją tragedję w Łowiczu, że choćby dla uzupełnienia całości, pozwoliłem sobie artykuł ten pomieścić w dośłownym przekładzie na język polski:

„DZIENNIKARZ NA POSTERUNKU.

Gdy zanikły normy spokojnego ludzkiego życia, gdy wszystko podporządkowya się nadzwyczajnym okolicznościom, a prawo zamarło—dla wolnego głosu dziennikarza nie ma już miejsca.

Gdy wkracza nieprzyjaciel, prasa zamiera lub uchodzi za rubieżę.

I nikt nie rzuci kamieniem potępienia w dziennikarza, który zamilkł, gdy wtargnął wróg.

Lecz ja kornie chylę czoło przed dziennikarzem, który jako redaktor malenieczkiej prowincjonalnej gazetki, skromną swą misję wznioł na szczyty bohaterstwa, który nie zamilkł nawet podczas największej grozy wojennej.

Jest to jedyny u nas dziennikarz, a być może i jedyny wśród dziennikarzy wszystkich krajów, objętych wojenną pożogą.

Depesze wczoraj doniosły o nim krótko: „Redaktor gazety łowickiej „Łowiczanie”, Rybacki, jako jeniec wojenny—został przez Niemców wywieziony do Prus”.

A przecież nie tak dawno jeszcze pisma doniosły, jak on cudem prawie uniknął śmierci.

Korespondent wojenny, p. Teodorow, przytacza artykuł, którym dziennikarz Rybacki, w październiku roku ubiegłego, powitał Prusaków zajmujących Łowicz.

Drukujemy go całkowicie w tłumaczeniu rosyjskim:

„Z DYMEM POŻARÓW.

Łowicz przeżywa ciężkie chwile. Dokoła jak okiem zasięgnąć dymią zgliszcza i świecą łuny na niebie, a tu na ziemi brat godzi w brata. Zarówno w niemieckim wojsku co chwila słyszeć się daje polska mowa, to czysta—z Poznańskiego, to już nieco zmieniona od Katowic i Mysłowic, lub tylko słabe jej odbłyски przebijają od jezior Mazurskich i Gdańska.

W pułkach austriackich—zwłaszcza w kawalerji, wielu jest Polaków. Konsystujący obecnie w Łowiczu ułani i dragoni krakowscy, składają się przeważnie z Polaków.

I wchodzi taki żołnierz pod strzechę ze słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” a w moment potem musi godzić w pierś brata—który mu dał schronienie.

Jak szatańskim był pomysł rozczwartowania żywego organizmu polskiego—i przez całe stulecia baczyć by nie mógł się złączyć.

Lecz Nemezys dziejowa czuwa.

Cóż powiecie na to wy, sławni dyplomaci, oprawcy naszego narodu, wy Metternichy, Kaunitze i Stackelbergi?

Ziarno przez was posiane dojrzało już i obfite daje zniwo. Już nie setki tysięcy, a miliony wdów i sierot przeklina was.

Popioły wasze ziemia wyrzuci ze swego łona, by były świadkami czynów waszych.

W tym bratnim boju narodów—każdy żołnierz padający na polu walki, krwią zapiekłemi usty ostatnie wyrzuca słowa: *„Na pohybel wam i waszym pokoleniom!”*
K, R.

Okazuje się, że dziennikarz ten nie drukował depeesz „Ajencji Wolffa” „zmuszony ku tem okolicznościami”.

W czasie niemieckiego wojennego terroru, w jego maleńkiej gazetce, wielkości arkusza listowego papieru, znalazły się jedynie te płomienne, namiętne słowa, które on miał odwagę rzucić w twarz wroga.

Rozumie się, że niemcy nie uszanowali tego szczytnego heroizmu.

Rybacki stanął pod latarnią, nie wątpiąc ani na chwilę co do treści wyroku, jaki nań wyda obradujący tuż, na placu, pospieszny sąd polowy.

Lecz stał się cud. Taki nieprawdopodobny w opisach korespondentów, a taki naturalny podczas wojny.

Znienacka wpadłszy do Łowicza oddział kozaków runął na zaskoczonych niemców, którzy ratując się ucieczką nie zdążyli, już ani powiesić, ani nawet osądzić przygotowanego na śmierć redaktora „Łowiczana”.

Teraz znów czytamy o p. Rybackim.

A więc on nie uciekał, jak dziewięć dziesiątych jego czytelników, ten redaktor „Łowiczana”, już raz przeżywający ostatnie chwile przed kaźnią.

Pozostał dla tej jednej dziesiątej części swych abonentów, którzy z napoły spalonego miasteczka nie mieli

ani środków, ani możliwości uciekać przed nowym wtargnięciem wroga.

I nie wiem doprawdy co więcej tu podziwiać: czy męstwo obywatela, czy profesjonalną dumę dziennikarza.

Lecz nigdy jeszcze dotychczas dziennikarstwo nie przejawiało się w tak jaskrawej formie klasycznego heroizmu!

Wszakże on ani na chwilę nie wątpił, ten skromny dziennikarz maleńkiego „Łowiczanina”, czy rzeczywiście jego gazetka jest już tak niezbędną dla garści nieszczęsnych łowiczian, podczas strasznych dni wojennego huraganu.

Co za wzniosłe zrozumienie godności dziennikarza, co za szczytne poczucie obowiązku względem swych czytelników.

Jakimi słowami dziennikarz ten przemawiał do nich, czy pobudzał w nich męstwo, czy też zalecał ostrożność—jeszcze nie wiemy.

Lecz kara, która go i tym razem dotknęła—jest dla nas dostateczną rękojmnią, że i teraz redaktor „Łowiczanina” najmniej myślał o sobie.

Przed nami jeszcze wiele wydarzeń!

Nie jedno nazwisko wpisane zostanie w wielką księgę historii tworzącej się na oczach naszych.

A wśród tych nazwisk będzie i nazwisko redaktora maleńkiej gazety „Łowiczanin”.

WILLY”.

(„Russkoe Słowo“ N-38, 17 lutego 1915 r.)



Jeńca z Dänholmu wyszły następujące wydawnictwa:

„Księżanka Zocha”. Powieść na tle życia włościan Księstwa Łowickiego	2.00
„Przemowy weselne i pogrzebowe dla domowego użytku włościan”	1.50

Powiastrki dla małych dzieci.

„Orzeł”	0.20
„Nerusz”	0.25
„Lis”	0.30
„Krasnoludki”	0.40

Powiastrki dla dzieci i młodzieży.

„Cyganie”	0.50
„Straszna noc”	0.30
„Samotna wyspa”	0.50
„Królewicz” (bajka)	0.50
„Synogarlice swatami były”	0.50
„Panika” (komedyjka)	0.50
„Podróż po Łowiczu”, gra towarzyska na nieograniczoną ilość osób.	1.70

W księgarni K. Rybackiego w Łowiczu

znajdują się na składzie następujące
wydawnictwa:

Turek Teodor. „Sonety Królewskie” część I, Piastowie	1.00
— „U źródeł romantyzmu.” Filozofja i este- tyka romantyków. II. Romantyczny po- stulat prawdy w sztuce. III. Postulat literatury narodowej. (Szkic historyczny dla młodzieży wyższych klas szkoły śre- dniej	0.80
Oczykowski R. „Przechadzka po Łowiczu.” Mo- nografia. Wydanie II znacznie powięk- szone.	3.00
Al. Bluhm-Kwiatkowski. „Przewodnik po Łowiczu i okolicy”	1.50
Zenon. „Książę Józef Poniatowski.” Szkic histo- ryczny.	1.00
Tarcz. Wład. „Pomoc cierpiącym.” Nabożeństwo za dusze zmarłych, broszurowane	1.00
K. J. R. „Matko Chrystusowa módl się za nami.” Nabożeństwo całoroczne dla wszystkich wiernych, broszurowane 1.00, oprawne w płótno	2.00
Puczyński P. „Jaśko Badyłów.” Obrazek sceni- czny w 3 odsłonach z życia chłopów Księstwa Łowickiego	1.00
— „Swaty na Księstwie Łowickiem.” Sztu- ka ludowa w I odsłonie.	0.50
— „Wesele na Księstwie Łowickiem.” Szkic obyczajowy.	0.50
Ciechański Franciszek. „Z wspomnień adwokata” Cztery szkice.	0.50
K. Rybacki. „Notatki Jeńca z Dänholmu i zamku Celle.”	2.70



